Pierwowzór „Nadobnej Paskwaliny".

I.

Dziecię przeszło pięćdziesięcioletniego Samuela Twardowskiego. „Nadobna Paskwalina", która po raz pierwszy weszła w świat koło r. 1655 (wydanie to zaginęło [1]), do dziś dnia nie przestaje niepokoić uczonych tajemnicą swego pochodzenia. Wprawdzie ojciec, przedstawiając ją publiczności, powiedział: „Z hiszpańskiego świeżo w polski przemieniona ubiór", ale tego wyznania nie brano dosłownie, gdyż uważano za rzecz „prawie zupełnie pewną", że „nasz poeta nie znał hiszpańskiego języka" [2]). Mimo to, kto po przeczytaniu „Paskwaliny" wziął do ręki Dunlopa-Liebrechta „Geschichte der Prosadichtungen" [3]) i tu przeglądał streszczenie najstarszego z właściwych romansów pasterskich, hiszpańskiej „Diany" Montemayora (1560), nie mógł nie zatrzymać się przy opowiadaniu pasterki Felismeny, przytoczonem w przekładzie niemieckiem (str. 353): „Eines Tages; kurz vor meiner Geburt, fand zwischen meinen Eltern eine Unterhaltung über das Urteil des

---

[1]) Drugie wyszło w Krakowie, w Drukarni Akademickiej, r. 1701, a ma na końcu Imprimatur Rektora Ochockiego (z r. 1654/5) i Reimprimatur Rektora Praczlewica (z r. 1701/2). Z owego pierwszego Imprimatur wysnuł słusznie R. Pilat istnienie i czas pierwszego wydania.

[2]) R. Pilat: „Historya literatury polskiej", III., 1911, opr. L. Bernacki, str. 129.

[3]) Berlin, 1851.

Paris statt, wobei meine Mutter ihre Missbilligung darüber aussprach, dass nicht Minerva den Apfel erhalten, und behauptete, er hätte dieser zu Teil werden müssen, da sie die höchsten Eigenschaften des Geistes mit Schönheit des Körpers verband. Im Laufe der folgenden Nacht erschien ihr Venus im Traum, warf ihr ihre Undankbarkeit für die Gunstbezeugungen vor, die sie ihr erwiesen, und verkündete ihr, dass das Kind, welches sie nahe daran war zu gebären, ihr das Leben kosten und einst von den heftigsten Leidenschaften, welche der Zorn der Venus zu erwecken vermöchte, gequält werden würde.“ Matka zaniepokoiła się tą groźbą Wenery, póki jej nie pocieszyła zjawiająca się we śnie Minerwa zapewnieniem, że oczekiwane potomstwo odznaczy się siłą ducha i czynami wojennymi. Pierwsza z groźb Wenery wnet się spełniła, a że za matką wstąpił w grób i ojciec, Felismena została sierotą. Wychowana w klasztorze, potem u krewnych doszła do siedmnastego roku życia, i wtedy stała się ofiarą obrażonej bogini, bo zakochała się w młodym sąsiedzie, Don Feliksie, który wprawdzie miłość jej odwzajemniał, ale nie mógł jej poślubić z powodu oporu ojca...

W „Paskwalinie“ opowiada swej pani jej niańka Stella, (str. 16), jakto matka jej, nie mogąc raz przed jej przyjściem na świat spać, prosiła męża, by jej coś przeczytał. Obudzony mąż wziął do ręki przypadkiem Homerową „Iliadę“ i natrafił na scenę sądu Parysa. Matka zganiła rozstrzygnięcie Parysowe, bo Wenus, to „przeskoczka, która prócz swywolnemi bawiąc się sprawami, — ludzie mami opite swemi rozkoszami“. Jabłko należało się Minerwie, „bowiem ta mądrości — i wojennej pospołu boginią dzielności“. Próżno mąż broni Parysa napisem jabłka, które miało przypaść: Najpiękniejszej; żona prawdziwą piękność umieszcza nie w wyglądzie, lecz w duszy, i powtarza, „że Parys głupie dekretował“, co zresztą zrozumiałe jest przy pasterzu owiec. Po tej rozmowie małżonkowie posnęli. Matce ukazała się we śnie Wenus, zarzuciła jej niewdzięczność za dotychczasowe łaski i zagroziła zemstą: „Bliźniąt dwoje porodzisz, przy których dasz gardło“, a dzieci te, dorósłszy, nie zaznają w miłości niczego, prócz umartwień i nieszczęść. Wenus zniknęła, zostawiając kobietę w strasznej trwodze. Po ponownem zaśnięciu zjawiła jej się Minerwa i oświadczyła jej, że za jej uprzejmość i affekty do niej nagrodzi jej dzieci, których powicie z woli Przeznaczenia przeboleje matka kochanem zdrowiem. Dzieci owe, syna i córkę, weźmie bogini w swoją opiekę i wzbogaci w rozum, męstwo i cnotę. Syn zasłynie jako bohater wojenny, córka będzie „gładka dziwnie i pięknych obyczajów“.

Jakiebykolwiek Fortuny niestateczności ich prześladowały. Minerwa wydobędzie ich z każdej toni. — Przepowiednie bogini wnet spełniły się o tyle, że matka, wydawszy na świat bliźnięta różnej płci, umarła, a wnet za nią poszedł i mąż. Sieroty chowały się u stryja, nieuczciwie zawiadującego ich majątkiem. Wyprawił on chłopca do Padwy na nauki, dziewczynkę oddał „na próbę“ do klasztoru Westy. Chłopiec, postąpiwszy znacznie w naukach, zwrócił się do zawodu rycerskiego, odznaczył się w bojach Hiszpanów z Maurami, i dziś, w łasce króla, we wszelkim dostatku, słynie jako wielki kawaler; dziewczynka jakoś nie mając woli być mniszką, wystąpiła z klasztoru i żyje sobie w blasku urody, otoczona tłumem wielbicieli. Wielu patrycyuszów i auzońskiej młodzi chciało ją mieć za żonę, ale mściwa Wenus zawsze w tem każdemu przeszkodziła: Jedni z konkurentów nawzajem się pozabijali, drudzy polegli w boju w różnych stronach świata; inni wreszcie kochali się w niej tajemnie i zdumiewali się jej urodzie, patrząc na nią — z daleka. Paskwalina (bo ona jest tą piękną panną), sądząc, że w Italii niema szczęścia, przeniosła się do Lizbony, nie wiedząc, że jej wieczna nieprzyjaciółka, Wenus, także tam ją znajdzie. — Niańka opowiedziała jej to wszystko, by ją ostrzedz przed sporem z boginią.

To opowiadanie niańki, jakkolwiek zawiera prehistoryę Paskwaliny i jej losów, nie jest bynajmniej punktem wyjścia całej akcyi. I bez klątwy Wenery, ściągniętej na Paskwalinę przez jej matkę, sama bohaterka w inny sposób ściąga na się jej gniew i prześladowanie, tak, że nawet bez znajomości opowiadania Stelli możemy rozumieć całą akcyę. Opowiadanie to obejmuje 265 wierszy (str. 15—21), z tego część od lektury sądu Parysowego do końca 180 wierszy. Jeżeli zważymy, że cały romans liczy 3960 wierszy, nie będziemy mogli źródła jego 22-giej, i to nie integralnej, części uznać za pierwowzór „Nadobnej Paskwaliny“.

Opowiadanie Stelli Twardowskiego zestawił z opowiadaniem Felismeny Montemayora pierwszy R. Pilat już około 1888 r., choć jego fragmentaryczną pracę, p. t. „Czas napisania Nadobnej Paskwaliny i niektóre jej źródła“, wydał dopiero w r. 1911 L. Bernacki, jako część „Historyi poezyi polskiej XVII.—XVIII. w.“. Tymczasem niezależnie od Pilata zrobił to samo odkrycie prof. E. Porębowicz, w pracy, zakomunikowanej w r. 1892 krakowskiej Akademii Umiej., p. t. „Źródła starego romansu polskiego“ [1].

[1] Spraw. z pos. Wydziału filolog. z 13 czerwca 1892, str. 37 i n.

Pisze on tam: „Główny motyw powieści o nimfie, którą prześladuje bogini Wenus za to, że ją obraziła matka jej, w czasie brzemienności, znajduje się w „Dianie“ Jerzego Montemayora. Nimfa zwie się tam Felismeną (ks. II.).“ Dalsze uwagi prof. Porębowicza przytoczymy później. Na razie dodajemy, że obserwacyę prof. Porębowicza rozprowadził szerzej romanista S. Węckowski[1]), a jako pewnik przyjął do swej „Historyi literatury polskiej“ A, Brückner[2]). Monografista Twardowskiego, S. Turowski[3]), nie zadawszy sobie nawet trudu zajrzenia do Dunlopa-Liebrechta, przeczy tym rezultatom, pisząc: „Brückner podaje, że treść wzięta z „Dianei“ Montemayora. Akcya Paskwaliny odbywa się między r. 1581—1583, za panowania Filipa II., a wówczas Montemayor już nie żył (od 1562). Wobec tego nie wiemy, gdzie źródło właściwe.“ Oczywiście zarzut, zaczerpnięty z chronologii, jest błahy, choćby z tego tylko powodu, że jak geografia, tak i chronologia jest w romansie Twardowskiego — fantastyczną. Młody brat Paskwaliny odznacza się w walkach Hiszpanów z Maurami. Czy dlatego mamy oryginał tej części odnosić do lat przed upadkiem Grenady (1492)? A zależność opowiadania Stelli od opowiadania Felismeny jest naoczna. Monografista „Powieści polskiej do połowy XVIII. w.“[4]), B. Gubrynowicz, streszcza wyniki R. Pilata i dodaje od siebie: „Wogóle kwestya wpływów nie jest jeszcze wyczerpana i ostatecznie rozstrzygnięta.“ Widocznie czuł prof. Gubrynowicz, że źródło epizodycznego opowiadania Stelli nie rozstrzyga jeszcze o znajomości źródła całego romansu.

R. Pilat czytał nietylko streszczenia Dunlopa-Liebrechta, ale całą hiszpańską „Dianę“. Mimo to tylko w przytoczonem opowiadaniu Stelli uznał „stanowczy i zupełnie wyraźny dowód korzystania z „Diany“[5])“. Po za tem sądził, że „wspólny obu powieściom motyw leczenia nieszczęśliwej miłości przez jakąś wieszczkę w świątyni, ukazuje się w obu dziełach w tak podobnem zastosowaniu i w takiej zgodności w niektórych drobnych szcze-

---

[1]) „Die romanischen Einflüsse in der poln. Litteratur“. Posen 1901, str. 66 i n.

[2]) „Dzieje literatury polskiej w zarysie“, I, Warszawa 1903, str. 317; wyd. 2., I., 1908, str. 320.; „Poezya w w. XVII.“ (Encykl. polska, Akad. Umiej., XXI., 1918), str. 240.

[3]) „Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezya na tle współczesnem“, Lwów 1909). str. 110.

[4]) Encykl. polska, XXII., str. 87.

[5]) str. 114.

gołach, że świadczy dobitnie już nie o ogólnem pokrewieństwie, ale wprost o zawisłości polskiej powieści od hiszpańskiego wzoru"[1]). Motyw ten nie jest zresztą wymysłem samego Montemayora, lecz prawdopodobną zapożyczką z „Arkadyi" Sannazara, który go znów zawdzięcza może „Eneidzie" [2]). Prócz tego wskazał autor na szereg drobniejszych reminiscencyj, na pewne podobieństwa w sytuacyach, ubocznych szczegółach, niektórych myślach i rozumowaniach, wreszcie w opisach natury, które w odosobnieniu możeby niedość były widoczne i wyraźne, ale razem wzięte świadczą o wpływie obcego wzoru[3]). Mimo to przyznał, że „stosunek zawisłości nie sięga znowu tak daleko, jakby może w pierwszej chwili na podstawie owej wzmianki (o tytułowem przemienieniu z hiszpańskiego w polski ubiór) można sądzić. O tłumaczeniu, parafrazowaniu, a nawet prostem przerobieniu hiszpańskiego wzoru niema mowy. P o d o b i e ń s t w o z a c h o d z i, pominąwszy kilka zasadniczych motywów i niektóre typy osób, g ł ó w n i e w u b o c z n y c h d r o b n y c h a k c e s s o r y a c h; w s a m e j f a b u l e, a c o n a j w a ż n i e j s z a, w t e n d e n c y i u t w o r u z n a j d u j e m y w y b i t n e r ó ż n i c e"[4]). Uwzględniwszy te różnice, konkluduje autor[5]): „Tytuł „Nadobna Pasqualina z hiszpańskiego w polski ubiór przemieniona", tak rozumieć należy, że Twardowski, mając zamiar, na wzór bohaterek „Diany", przedstawić typ nieszczęśliwej kochanki, szukającej uleczenia z miłości, zastosował go do współczesnych wyobrażeń, nadał rysy, odpowiadające religijno-moralnym tendencyom, panującym w XVII. w. w Polsce, i w ten sposób nadał mu bardziej swojską cechę i polską szatę. Bohaterka jego miała przezwyciężyć się, oczyścić długiem c i e r p i e n i e m — i ztąd też prawdopodobnie allegoryczna nazwa Paskwaliny, odmienny charakter całego typu."

Tę odmienność typu i tendencyi najlepiej sformułował E. Porębowicz[6]): „Paskwalina, wyzywająca butnie Wenerę i zwyciężająca ją, aby potem, wzgardziwszy ziemską miłością, ufundować klasztor amazonek, nie mogła zjawić się w epoce Montemayora, d'Uriego, Guariniego lub Mariniego, kiedy to miłość, nieraz wyzywana do walki, wychodziła zawsze tryumfatorką; potrzeba było

[1]) str. 121 i n.
[2]) Tamże.
[3]) str. 125 i n.
[4]) str. 127. Podkreślenia wyrazów pochodzą odemnie.
[5]) str. 129.
[6]) j. w., str. 37.

na taką koncepcyę aż drugiej i trzeciej ćwierci XVII. w., do której też epoki źródło dalszych dziejów Paskwaliny odnieść należy." Tego źródła — głównego, na razie nie mamy. B. Chlebowski[1]) wyraził przypuszczenie, że Twardowski przerobił jakiś romans, napisany prozą po łacinie przez jakiegoś hiszpańskiego Jezuitę, ale go niczem nie uzasadnił. Więc i po wyczerpującej pracy R. Pilata kwestya źródeł „Nadobnej Paskwaliny" nie jest załatwiona.

A przecież główne źródło, które dostarczyło Twardowskiemu tendencyi i najważniejszych motywów, wszyscy dobrze znają. Jest niem bowiem, jak niebawem wykażemy, najpopularniejsza w wieku XVII. allegoryczna baśń o owej dziewicy, która naraziwszy się bogini ziemskiej miłości i straciwszy przez własne przewinienie miłość niebieską, przez długą pokutę, przez wiele cierpień i nieszczęść odzyskuje prawdziwe szczęście[2]). Apulejusz należał do ulubieńców baroku, jako najdoskonalszy przedstawiciel rzymskiego konceptyzmu, jako główny reprezentant stylu kwitnącego, przeładowanego ozdobami, słowem, barokowego. Baśń jego o Amorze i Psyche, opowiedziana przez samego Amora w czwartej części „L'Adone" Marina, znana była u nas z przeróbki Andrzeja Morsztyna w poemacie „Psyche" (ukończonym 1659 r., ale wydanym dopiero między 1696 a 1698 r.). Przed Marinem opowiedział we Włoszech Ercole Udine: „Avvenimenti amorosi di Psiche" w ośmiu pieśniach (1598/9); Gabriello Chiabrera wplótł sześć scen z jej życia, jako opis obrazów, w „Alcina Prigioniera", a Christoforo Marcadanti wystawił w r. 1618 dramat o niej[3]). Z utworów hiszpańskich, osnutych na kanwie baśni Apulejusza, najbardziej znane są

---

[1]) „Tygodnik illustrowany", 1884, potem „Pisma", t. III. Warszawa 1912.

[2]) Apulejusza „Amor i Psyche" (Metamorphoseon. ks. IV., 28—VI., 24) ob. T. Sinko: *Romans grecki*, „Eos", XI., 2. 1905. str. 94. Nie dla próżności, lecz w interesie polskich czytelników zaznaczam, że ta rozprawka, wskazująca nici, łączące romans starożytny z polskim, powinna się była znaleźć w Bibliografii B. Gubrynowicza („Powieść polska do połowy XVIII. w.") w Encyklopedyi polskiej, XXII., str. 99, podobnie jak artykuł p. t.: *Genealogia romansu europejskiego* („Musejon", grudzień 1912), oświetlający schemat polskiej powieści bohaterskiej, zasługiwał na wzmiankę przy Kraszewskim i Sienkiewiczu. Niestety, na punkcie cytowania polskiej bibliografii zbyt jesteśmy — europejscy.

[3]) ob. U. de Maria: „La favola di Amore e Psiche nella letteratura e nell' arte italiana", Bologna 1899.

trzy dramaty Kalderona o Psysze[1]) i Antonia de Soli „Triunfos de Amor e Fortuna“ (1659). Literatura francuska chlubi się do dziś dnia La Fontaine'a „Les Amours de Psyché et Cupidon“ (1669) i „Psychą“ Moliere'a (1671)[2]). Wreszcie z literatury angielskiej[3]) cytują Shakerley Marmion'a „The legend of Cupid and Psyche, an moral Poem“ (1637) i Józefa Beaumont'a „Psyche or loves mystery“ (1648). Jeżeli zważymy, że i Kalderon, przynajmniej w dwóch dramatach, i Beaumont, w swem gigantycznem mysterium (przeszło 30.000 wierszy), biorą Psyche czysto allegorycznie, jako obraz duszy chrześciańskiej, nie zdziwimy się, że i Twardowski, już w pierwszej połowie XVII. w., mógł w ten sam sposób interpretować bohaterkę baśni Apulejusza i jej losy. Taka tendencya nie była żadną specyalnością polską, ale zjawiskiem ogólno-europejskiem.

Przypomniawszy tę popularność baśni Apulejusza w literaturze europejskiej XVII. w., zestawimy motywy wspólne Twardowskiemu i Apulejuszowi, przyczem posługiwać się będziemy pięknym przekładem L. Rydla[4]). Przy sposobności potrącimy też o niektóre inne motywy klasyczne, zachowując jednak przeważną część materyału klasycznego po za Apulejuszem do drugiej części rozprawy.

W Hiszpanii (!) leży nad oceanem rozkoszne niby raj miasto Lizbona. Jedną z jego osobliwości jest piękna płeć niewiast, którym żar słońca, opalający sąsiednie Maurytanki, nic nie szkodzi. Ich uroda sprawia, że „w mieście tem białogłowy zawsze panowały“. Nad kim? Chyba nad zakochanymi w nich mężczyznami, nad owymi „forysterami“, których z różnych krajów rozkosze

---

[1]) R. Goldreich: „Die drei Psychedramen Calderons“, Progr. Gimn., Plan I. 1907; II. 1908.

[2]) ob. B. Stumfall: „Das Märchen von Amor und Psyche in seinem Fortleben in der franz., ital. u. span. Lit. bis zum 18 Jahrh.“, Münchner Beitr. zur rom. u. engl. Philol., nr. 39. München 1907.

[3]) A. Hoffmann: „Das Psychemärchen des Apuleius in der engl. Liter.“, diss. Strassburg, 1908. — O nowszych opracowaniach baśni Apulejusza w literaturze niemieckiej pisał H. Blümner: „Das Märchen von Amor und Psyche in der deutschen Dichtkunst“, Ilbergs Neue Jahrbb. 1903, str. 641 i n.

[4]) wydanym w Krakowie, 1911, nakładem Krzyżanowskiego. Prócz tego w poprzedzającym dziesiątku lat ukazały się jeszcze trzy polskie przekłady baśni Apulejusza: prof. Kawczyńskiego (Kraków, Spółka wydawnicza, 1901), Br. Swiby (Kraków, Gebethner i S-ka. 1902), Br. Stankiewicza (Bibl. powsz. Zuckerkandla, Brody 1909).

Lizbony tam ciągnęły, „jako magnes żelazo“. To panowanie kobiecości w Lizbonie, to owa „polityka“, która skłoniła Wenerę, wypędzoną z Cypru przez Turków, do przeniesienia się tam ze swoim dworem i zbudowania wspaniałego pałacu z napisem: „Tu nowa dziś Cythera Cypryjskiej Wenery“. Cała jej służba składa się z kawalerów z pod znaku Wenery. Do sypialni mają wstęp tylko prywatnie wezwani kochankowie, syn bogini (Amor) i skrzydlaci Amorkowie (str. 1—5).

Naprzeciw pałacu Wenery stał pałac nadobnej Paskwaliny. Ta za „wszytkich zgodą — śmiertelne celowała stworzenie urodą“. To też „gdziekolwiek stąpiła, gdziekolwiek spojrzała, — zdało się, że na świecie sama królowała — i sama być rozkoszą“. Świadoma swej urody „tak barzo się w sobie — nad wszytko rozkochała, że też pomyśliła, — jakoby w tym Wenerze samej nie spuściła“. W tej „presumpcyi“ utwierdzały ją pochwały ludzkie, gdyż pod okna jej pałacu schodziło się codziennie wielu różnych kawalerów, którzy pragnęli rozkoszować się jeśli już nie „wdzięczną konwersacyą“ z nią, to przynajmniej jej widokiem. Całe miasto o niej tylko mówiło, całe miasto się dziwiło, „co za geniusze stworzyli ją niscy, — że na samo imię jej jakoby się wszyscy — i kochanie zmówili, świetnego jej dworu — mieiąc się kompanią“. A ona powiększała świadomie liczbę swych wielbicieli, spoglądając na jednych zuchwale, na drugich wstydliwie, łowiąc wszystkich na wędkę swych wdzięków. To była jej najmilsza „krotofila“. Najskuteczniej ją uprawiała przy rannej toalecie, dokonywanej przy otwartem na ulicę oknie. „A o żadnej jakoby zdradzie nic nie wiedząc, — pilno barzo słuchała ktożkolwiek tam zdołu — o niej

---

Piątego przekładu w w. XX. dokonał J. Jankowski (w Warszawie, 1911, Biblioteczka — hermetyczna, nr. 7). Ta obfitość przekładów tego samego pisma tem się tłumaczy, że każdy z tłumaczów uważał się za — pierwszego, bo nie znał prac poprzedników. Można się cieszyć, że arcydzieło Apulejusza tyloma drogami popularyzuje się w społeczeństwie polskiem, ale nie można nie mieć zastrzeżeń co do takiego bezcelowego marnowania energii. Czy literatura polska po za Apulejuszem niema już żadnych innych obowiązków wobec starożytnej? i czy kto zabierając się do jakiego przekładu, nie mógłby się bodaj w Redakcyi „Eos“ poinformować o jego potrzebie? — Najtańszy i najprzystępniejszy tekst łaciński F. Nordena, Karl Graeser, Wien, 1903 (Meisterwerke d. Griechen u. Römer in kommentierten Ausgaben, VI.: 1 Text, 2 Einleitung u. Kommentar). Nakład Graesera przeszedł na własność lipskiej firmy B. G. Taubnera.

mówił i o jej gładkości pospołu — dawał jaki rozsądek“. To ją miało upewnić, „czymby też od Wenery pośledniejsza była“ (str. 5—11).

Jakoż słyszała, że jedni ją przyrównywali do kwiecistej łąki wiosennej; drudzy wymieniali kraje, które zbiegli, a nigdzie nie widzieli tak pięknej białejgłowy; inni ją zwali Luzytańską Heleną lub Neronową Poppeą. Niejeden liczył jej włosy, właśnie czesane, i „o każdym z nich osobno wylał wiersz uczony“. Mniej dowcipni, „patrząc, mordowali się, jednak w tej lubości — nie znaleźli żadnego końca i sytości“. Wreszcie jeden oświadczył, że wszelkie porównania z ziemskiemi stworzeniami są niewystarczające. Z nieba trzeba jej szukać podobieństw. „Cóż nad nią ma i Wenus... pani wszytkiej gładkości?... Owo tą pięknością i cerą — i wszytką swą ozdobą porówna z Wenerą!“ Na takie słowa czekała Paskwalina. Teraz „nie już się stworzeniem ziemskim mieć poczęła“; teraz oświadczyła starej słudze, Stelli, że może sobie szczęśliwo żyć na ziemi bez Wenery, której — zdaniem widzów — dorównywa w urodzie. Próżno Stella, znanem już opowiadaniem o stosunku matki Paskwaliny, Andronii, do Wenery, ostrzegała ją przed dalszym gniewem Wenery, której nie należy więcej wyzywać, Paskwalina dalej rozkoszowała się pochwałami ludzkiemi (str. 11—21).

Aż doszło to do uszu Wenery. Ta zawrzała niezmiernym gniewem. Widząc zaś w pobliżu bawiącego się łuczkiem Amora, tak doń przemówiła: „O ty, co na niebie, — co możesz i na ziemi strzałą jedną swoją — spalić wszytko, a mocy którego się boją — Awerny niedostępne i Stygiyskie dwory — dziecię moje! Słyszyszli, co to za rumory — w głos latają: Jakoby Wenus okrom to mnie — druga była? Jeśli tak, i cóż będzie po mnie — i po moich ofiarach, które wszyscy palą — jednostaynie mi dotąd, kiedy i tę chwalą?“ Jeśli Jowisz za wzgardę swego bóstwa ukarał Cyklopów, Iksiona, Tycyona, czy to samo bez kary ma ujść lichej dziewce? „O jeśliś mojego kochania — wdzięczen kiedy i tyla poświęconych nocy — wiecznym naszym rozkoszom, dobądź wszytkiej mocy, — a dwie strzale nagotuj, różnemi je harty, — przysadziwszy i jady“. Jednę, ostrą, ma wypuścić na Paskwalinę; drugą, tępą, ołowianą, do Oliwera. Wtedy harda, zakochawszy się ślepo, a sama niekochana, zaraz pozna, czem jest różna od Wenery i spuści z dumy. Jeśli to Amor spełni, to go Wenus słodko pocałuje „i różami skronie umaiwszy, na nagim uśpi swoim łonie“. Amor bezzwłocznie spełnił prośbę matki i wzniecił w sercu Paskwaliny jednostronną miłość do Oliwera, zakochanego w Kornelii... (str. 11—24).

Oto ekspozycya i zawiązanie węzła intrygi w „Nadobnej Paskwalinie“. Bez uwzględnienia opowiadania Stelli (wziętego z Montemayora) rozumiemy, czem Paskwalina ściągnęła na siebie gniew Wenery. Ta ekspozycya wzięta jest z następujących ustępów baśni Apulejusza:

Psyche była dzieweczką niewypowiedzianej urody. „Mnodzy miejscowi obywatele, a nawet bogaci przybysze, których ściągało tak nadzwyczajne cudo rozgłosem sławy swojej nieustannej, słupieli z podziwu na widok tak nieporównanej urody... i składali jej hołdy pobożnego uwielbienia zupełnie jakby samej bogini Wenerze“. Po okolicy i sąsiednich krajach rozeszła się wieść, że Wenera zstąpiła między ludzi, lub że ziemia wydała drugą Wenerę. Każdy spieszył, by oglądać „najsłynniejsze dziwo tego wieku“. Nikt nie pielgrzymował już do świątyń Wenery na Pafos, Knidos, nawet na Cyterę; świątynie te stały pustką, na ołtarzach czerniał się zastygły popiół: „Modlą się do dziewczęcia, przed ludzkiem obliczem korzą się, jak przed objawieniem tak potężnej bogini: gdy rankiem dziewczyna wynijdzie, składają na jej cześć ofiary i biesiady, należne bóstwu nieobecnej Wenery: kiedy zaś ulicami przechodzi, tłumy czczą ją wieńcami kwiatów i kwiatów pękami.“

To przeniesienie boskiego majestatu na śmiertelne dziewczę, rozpaliło gniewem serce prawdziwej Wenery. Najpierw więc w monologu dała wyraz oburzeniu na to, że cześć jej przypada w udziale także dziewce śmiertelnej, a boskość, na dział pospólny wydana, schodzi na wątpliwą cześć drugiego rzędu. W takim razie próżny by był wyrok Parysa, potwierdzony przez Jowisza. Następnie wzywa do siebie skrzydlatego syna i pokazawszy mu Psyche, opowiada mu „całą tę historyę współzawodnictwa w urodzie“ i zaklina go, by ją pomścił: „Ta dziewka niech zażegnie się miłością najognistszą ku najostatniejszemu z ludzi...“

Trudno zaprzeczyć, że ten początek baśni Apulejusza dostarczył Twardowskiemu materyału do ekspozycyi romansu. Paskwalina, to Psyche, tem się od niej różniąca, że współzawodniczy z Wenerą świadomie, z rozmysłu, podczas gdy Psyche nieświadomie i mimowoli ściągnęła na się cześć, należną Wenerze. Twardowski, powtarzając scenę Wenery z Amorem, przejął z Apulejusza nawet szczegół, nie licujący z przyjętymi przez niego warunkami. Paskwalina boskich ofiar nie odbierała, jak Psyche. Mimo to jej antagonistka mówi: „I cóż będzie po mnie i po moich ofiarach... kiedy i tę chwalą“, jakgdyby się obawiała, że ludzie zaczną składać ofiary Paskwalinie.

Szczegóły dotychczasowego opowiadania Apulejusza w tym związku pominięte, umieścił Twardowski gdzieindziej, po części w opowiadaniach Stelli. Kto wie, czy assumptu do włączenia tego epizodu z Montemayora, nie dała mu wzmianka Apulejusza (IV., 30): „Więc napróżno gwoli mojej cudnej urodzie dank nad onemi tak wspaniałemi boginiami przyznał mi pasterz ów, którego słuszny i sprawiedliwy sąd potwierdził sam wielki Jowisz.“ To pewna, że i do wątku Montemayora wprowadził Twardowski pewne szczegóły z Apulejusza: Oto rodzice Paskwaliny, nie mając jeszcze dzieci, „drogie upominki — do Delfu i Efezu wyprawili różno, — bogi tamte legując“. W hiszpańskim oryginale jest tylko mowa o modłach matki, jej darach i ofiarach dla bogów. Natomiast u Apulejusza (IV., 32) rodzice Psychy, o co innego zresztą zmartwieni, „udają się do starodawnej boga milezyjskiego wyroczni“ i tam w modłach i ofiarach zwracają się do Apollina. Twardowski zastąpił mniej znaną wyrocznię Apollina Didymejskiego w Milecie, popularniejszą (zwłaszcza w romansach greckich) wyrocznią tegoż boga w Efezie i Delfach, ale sam pomysł wyroczni w tym związku przejął, zdaje się, od Apulejusza.

U tego ojciec prosi boga o męża dla swej córki (IV., 32), bo choć „wszyscy wzrok na nią wypatrują, wszyscy pochwały jej sypią, lecz nikt, ani żaden król, ani królewic, nikt choćby nawet z gminu ręki jej nie żądny, nie kwapi się do małżeństwa“. Według opowiadania Stelli, italscy konkurenci Paskwaliny albo się pozabijali, albo poginęli w boju, albo podziwiali ją — ale tylko z daleka, tak, że panna, widząc, iż nie ma szczęścia we Włoszech, przeniosła się do Lizbony. Wreszcie umieszczony na początku opowiadania Twardowskiego opis pałacu Wenery, jakkolwiek tego rodzaju opisy są stałym rekwizytem romansów, zdaje się być wzorowanym na opisie pałacu Amora u Apulejusza (V., 1). Wzmianka o posadzce, złożonej z drogich kamieni drobno rżniętych, która obrazy przedstawiała różnowzore, wystarczyła autorowi polskiemu, by na posadzce właśnie umieścił: „odmalowano... pendzlem Apellesowym owych... srogich obrazy bohatyrów, którzy od tej Pani — aż i sami bogowie kiedyś shołdowani“. Inni romansopisarze umieszczają takie obrazy na ścianach, ryją je na metalowych bramach i t. d.

Że Twardowski, prócz motywów i szczegółów Apulejusza, umieszczał w swem opowiadaniu mnóstwo innych reminiscencyj klasycznych, na to już zwrócił uwagę R. Pilat, a ja na końcu szerzej przedstawię. Tu poruszę tylko dla charakterystyki jego

twórczości i oczytania kilka szczegółów: Jeśli Wenus, prosząc syna o puszczenie strzały na Paskwalinę, powołuje się na jego moc, co na niebie i na ziemi może jedną strzałą spalić wszystko; którego boją się Awerny i stygijskie dwory, to powtarza podobne słowa, wyrzeczone w podobnej sytuacyi przez Owidyusza (Met. V., 369): „Tu superas ipsumque Jovem, tu numina ponti — victa domas ipsumque, regit qui numina ponti. — Tartara quid cessant?...“ Dziwna może się wydawać nagroda, przyrzeczona przez matkę — synowi: „Słodko cię pocałuję... i na nagim uśpię swoim łonie.“ O ileż odpowiedniej Wenus u Apulejusza (IV., 8) przyrzeka temu, co znajdzie zbiegłą Psychę: „Septem savia suavia et unum blandientis adpulsu linguae longe mellitum.“ Amor ma wypuście do Paskwaliny i Oliwera dwie różne strzały: do niej, powodującą zakochanie, do niego — budzącą niechęć: „Strzelże jedną do niej, — jako możesz najgłębiej, ostrą i hartowną, — drugą do Oliwera, tępą i ołowną“ (str. 22). Ten motyw pochodzi z Owidyuszowego opowiadania o Amorze, strzelającym do Apollina i Dafne (Met. I., 468 i n.): „Eque sagittifera prompsit duo tela pharetra — diversorum operum: fugat hoc, facit illud amorem: — quod facit, auratum est et cuspide fulget acuta, — quod fugat, obtusum est et habet sub harundine plumbum.“ Jeśli wreszcie o spojrzeniach Paskwaliny Twardowski pisze (str. 7): „Owo co wiek stary — rachował trzy Gracye i chwalił bez miary, — tedy z jednych oczu jej tysiące pałały — i w insze się, gdy chciała, coraz odmieniały — i cery i postaci“, to parafrazuje wiersze Musajosa o Hero (w. 63): „πολλαὶ δ'ἐκ μελέων χάριτες ῥέον, οἱ δὲ παλαιοὶ — τρεῖς Χάριτας ψεύσαντο πεφυκέναι· εἷς δέ τις Ἡροῦς — ὀφθαλμὸς γελόων ἑκατὸν Χαρίτεσσι τεθήλει...“ Jak Marino, tak i Twardowski szuka barw do swych obrazów po najodleglejszych zakątkach Greczyzny.

Mimo bezpośredniego wprowadzenia do romansu mitologicznej Wenery chciał Twardowski utrzymać swą rzecz w sferze ludzkiej i dlatego owego nędznika, w którym z woli Apulejuszowej Wenery miała się zakochać Psyche, zastąpił nie Amorem, jak Apulejusz, lecz ziemskim rycerzem, jak Montemayor. Don Feliksowi, ukochanemu przez Felismenę, odpowiada u Twardowskiego Oliwero. Pomijamy na razie listowne zabiegi Paskwaliny o jego wzajemność, pomijamy jej zniesławienie, spowodowane plotkami kochanej przez Oliwera Kornelii, której on pokazał list Paskwaliny, a zatrzymujemy się dopiero przy rozpaczy bohaterki. Poznała ona (str. 31), że Fortuna pozbawiła ją sławy, którą sięgała samego nieba. Nie przestąpiła wprawdzie wstydu, ale gmin, wziąwszy ją raz na języki,

będzie jej przypisywał wszelkie bezwstydności. Ale i droższą od dobrej sławy rzecz straciła. Oto obraziła na się łaskawe bogi, z których ręki wzięła swe ozdoby, a tak źle ich zażyła („oraz zbywszy szaty — niewinnej przyrodzonej"). Lepiej jej było przedtem wyłupić oczy, podrapać twarz, zniszczyć cerę, a zachować sławę. Niestety, ona wolała dla próżnej chwały pokazywać się, póki nie ujrzała tego, w którym się teraz tak nieszczęśliwie kocha.

Te narzekania Paskwaliny odpowiadają smutkowi Psychy, wywołanemu pierwszym objawem gniewu bogów, którzy jej nie pozwolili wyjść za mąż. Wtedy to „miała w nienawiści urodę swoją, tak wielbioną przez ludzkie całe plemię" (IV., 32). Pobrzmiewają w nich też pewne motywy z pożegnania Psychy z rodzicami (IV., 34): „Oto nagroda za urodę moją śliczną. Zawiści grotem śmiertelnym przeszyci, teraz dopiero przejrzeliście, gdy jest już zapóźno. Kiedy ludzkie rody i narody cześć boską nam oddawały, zgodnemi usty nową mnie Wenerą mieniąc, wonczas boleć, wonczas płakać było, wonczas mnie żałować, jak zaprzedaną. Już ja czuję, widzę już obecnie, że mnie zgubiło jedynie to miano Wenery." Gdy ją spotkał drugi, sroższy cios, gdy przez nieopatrzną ciekawość straciła boskiego kochanka, nie zdobyła się już na żadne narzekania: w milczeniu rzuciła się głową na dół w pobliską rzekę (V., 25).

Paskwalina nie myślała o samobójstwie. Z żałości tylko zemdlała. Gdy ją służebne ocuciły (str. 29), wyznała swe strapienie Stelli, a ta poradziła jej, by przedewszystkiem opuściła miasto, gdzie tak bardzo pobłądziła, i udała się do pobliskiego starodawnego kościoła Minerwy, w którym ksienią i wieszczką jest Felicya. Ta, jak z kart, wyczyta z jej twarzy, co jej jest, i da sposób, jak wyjść z tych opałów i odzyskać utraconą sławę. Ale Paskwalinie na razie nie sława w głowie, tylko Oliwer. Ponieważ on nią gardzi, „coś (ją) umrzeć skrytego koniecznie poduszcza". Mimo to pójdzie, gdzie jej Stella każe, „byle tylko, czego mię Matki tej złej Synek — ach, nabawił, miała swój kiedy odpoczynek" (str. 35).

Stella radziła Paskwalinie szukać w pobliskiej świątyni rady na odzyskanie dobrej sławy: Paskwalina gotowa się tułać po całym świecie, byleby znalazła spokój od nieszczęśliwej miłości. Ta różnica w celach tem się prawdopodobnie objaśnia, że Apulejusz z jednej strony wprowadza koziorogiego Pana, który wywnioskowawszy z wyglądu i zachowania się Psychy, że cierpi męki miłosne, ostrzega ją przed zamachami samobójczymi i radzi modłami przebłagać Kupidyna (V., 25): z drugiej strony każe Psysze błądzić po różnych krajach w poszukiwaniu Amora (V., 28 i n.;

VI., 1 i n.). Do świątyni posyła Stella swą wychowankę, bo i Psyche przybywa w swej wędrówce najpierw do świątyni Cerery (VI., 2), a następnie do świątyni Junony (VI., 3), które napróżno błaga o przytułek i opiekę. Boginie, nie chcąc się narazić Wenerze, odprawiają ją precz. — Paskwalina spieszy nocą w towarzystwie jednej sługi (str. 37) do świątyni Minerwy i tu błaga wieszczkę o pomoc w utrapieniach miłosnych. Felicya objaśnia jej przyczynę gniewu Wenery; wykłada, jak z próżnowania i z oczu niestrzeżonych zrodziła się w niej marna miłość; poucza, że największą obrazą bogów jest niewdzięczność za ich dary i złe ich używanie; wreszcie, pochwaliwszy spokój klasztorny, radzi jej ze sprawą udać się do przybytku Junony, bo czysta Minerwa nie zajmuje się takiemi materyami. Ponieważ jednak Minerwa opiekuje się nią z przyjaźni dla zmarłej matki, nie opuści jej w niebezpiecznej drodze. Z jej pomocą nietylko dojdzie do boskich progów Junony i pozbędzie się swych niespokojnych myśli, ale także spełni czyn zdumiewający: Pomoże bogom, a zwłaszcza Junonie, „wyrugować“ z nieba Wenerę, gorszącą wszystkich swą rozwiązłością (str. 40-44). Aby spełnić ten czyn, musi Paskwalina przywdziać strój pielgrzymi i iść w okropne knieje Cyklopów. Tam trzeba serca wielkiego, żeby się nie dać nastraszyć. Pomocą i wzmocnieniem będzie jej kamień, zdjęty z szyi Felicyi, kamień, który ma zawinąć w szkarłat i nosić zawsze na piersiach. Zdejmie go tylko wtedy, gdy ciało i sumienie oczyszczać będzie w strumyku na prześlicznej łące. Potem go znowu włoży, gdyż bez niego byłaby podobna do martwego posągu i nie doszłaby do świątyni Junony. Uważać musi, by przy owej wodzie nie zasnęła, albo by jej kto na brzegu nie ukradł klejnotu. Czekają ją wprawdzie różne niebezpieczeństwa, ale przy ostrożności wyjdzie z nich cało i przyjdzie do świątyni Junony, gdzie jej ksieni Beliza powie, jak pozbyć się miłości i odzyskać dobrą sławę (str. 45—47).

Odwiedzenie świątych dwóch bogiń jest u Apulejusza tylko przypadkowym epizodem podróżnym; Twardowski czyni je integralną częścią akcyi o tyle, że w pierwszej świątyni bohaterka dowiaduje się, jak się dostanie do świątyni drugiej, gdzie jej podadzą sposób na osiągnięcie celu osobistego. Tym jest odzyskanie spokoju i dobrej sławy. Ale pierwsza wieszczka wskazuje bohaterce i drugi cel: obalenie Wenery. Do tego dążą bogowie, którzy Paskwalinę wybrali za narzędzie, tem odpowiedniejsze, że jej współudział dopomoże jej do osobistej zemsty nad Wenerą. Oba te cele wydają się na pierwszy rzut oka odmienne od Apulejuszowych;

w rzeczywistości jednak w Apulejuszu mają swe źródło. Bo jakiż u niego przebieg ma spór Wenery z Psychą? Śmiertelniczka spełnia w cudowny sposób nałożone jej przez boginię zadania, a nim Wenera mogła wymyślić nowe, Amor pozyskuje Jowisza dla sprawy swego małżeństwa z Psychą. i król bogów najwyższem rozporządzeniem ogłasza. że jedynym sposobem. by położyć kres miłosnym wybrykom Amora. jest ożenienie go: niechże zatrzyma tę, którą wybrał i uwiódł. Skrupuły Wenery, co do niskiego pochodzenia synowej. usuwa tem. że każe Psychę porwać do nieba i poi ją ambrozyą. W ten sposób Psyche zostaje nieśmiertelną boginią i prawowitą małżonką Amora. w ten sposób tryumfuje nad swą prześladowczynią Wenerą. Z prześladowanej niewolnicy zostać boginią. to chyba zdobyć najwyższą sławę: z odepchniętej przez zbiegłego małżonka tajemnej nałożnicy zostać prawą, poślubioną na Olimpie żoną Amora, to zapewnić sobie wieczny spokój małżeński. Tak mimo pozornej różności cele akcyi Psychy bliskie są celów akcyi Paskwaliny. Modyfikacya ich, czy — jak dziś mówią — „odpodobnienie“ łączy się z założeniem Twardowskiego, że Paskwalina zajęła się nie Amorem, lecz Oliwerem, i że nie kochanka zdobyć miała. ale uwolnienie od jego miłości. Wobec tego i tryumf nad Wenerą musiał przybrać inny charakter. Ale czy ożenić Amora. to nie znaczy połamać mu łuk i strzały? Czy zwyciężyć Wenerę. to nie położyć kres jej panoszeniu się w niebie?

Zależność pewnych szczegółów w przedstawieniu owego spełnienia zapowiedzi. danych Paskwalinie przez Felicyę, od Apulejusza — wykażemy dopiero przy analizie księgi (punktu) trzeciej, bo druga nie wzbogaca akcyi żadnym istotnym momentem, jest zbiorem epizodów retardujących. których głównym celem jest moralne wydoskonalenie Paskwaliny przez wysłuchanie odpowiednich nauk. Sposobność do nich nadarza się przy czterech noclegach, znalezionych przez błądzącą bohaterkę w chacie rybaka na wyspie wśród jeziora, w szałasie pasterzy. w pałacu Apollina i w pałacu Dyany. Pomijamy na razie źródła tych epizodów. nie mających wiele wspólnego ani z Montemayorem, ani z Apulejuszem, a uwydatnimy tylko ich sens moralny: Opatrznościowe przybycie do chaty rybaka (str. 50 i n.) uchroniło bohaterkę przed zamachem żyjącego w pobliskim lesie lubieżnego olbrzyma (Cyklopa), który czyhał przedewszystkiem na cnotę Nimfy, poświęconej tylko Dyanie. Tę właśnie Nimfę spotyka Paskwalina w chacie rybaka. Pracowite bowiem ubóstwo tego pobożnego człowieka. żyjącego w nieskażonej niewinności natury z żoną i dziećmi. nietylko jego. ale

i jego gości chroni przed pożądliwością i lubieżnością: „O szczęśliwyś (mówi do niego Paskwalina) między szczęśliwymi! — Tóś nie żadnym parkanem, ani chineńskimi — otoczony murami, ani galeottą — morską jaką, ale prócz własną swoją cnotą — tak bezpieczny“ (str. 53). Tę samą naukę odnosi bohaterka z pobytu wśród pasterzy, żyjących szczęśliwie pod opieką bogów, którzy bronią ich nawet przed napaścią srogich lwów. Widocznie i Paskwalina wróciła już do tej naturalnej niewinności, skoro i ją w dalszej drodze ratuje od lwa sam — Apollo. Z jego opowiadań dowiaduje się Paskwalina, że i bogowie nie są zabezpieczeni przed potęgą Wenery i jej syna: „Czym mnie-li, jako więcej ciebie — uwieść mogła. Owo bydź spełna przy rozumie — i miłości hołdować, ledwie bóg sam umie — w to potrafić. Przetoż i tobie nie dziwuję, — żeś w tej trosce“ (str. 71). Tem większa będzie zasługa Paskwaliny, jeżeli przyczyni się do „zadania sromoty“ Wenerze. — W tej imprezie utwierdza ją i Dyana, która opowiada Paskwalinie o atakach Wenery na swoją dziewiczość. Ale kto ma wolę czystości, wobec tego Wenus i Amor są bezsilni. Prócz tego daje Dyana inne nauki: Nie trzeba nigdy dawać nawet pozoru, któryby dostarczył materyi złym językom i zaszkodził dobrej sławie. Losy człowieka nie zależą od jakiejś ślepej Fortuny. Szczęściem zowie się to, co bogowie wezmą komu i dają. Ono „tym nie władnie bynajmniej, kogo złym uczynić, — abo dobrym: człowiek sam musi się przyczynić“ (str. 77). Wprawdzie z natury skłonniejszy jest ku złemu, ale mając rozum „dyskretniejszy nad inne zwierzęta i bestye, — bardzo może snadnie — być i dobrym, gdy zechce“. Przeciw Wenerze i Amorowi „nie potrzeba zbroje — ani obron nijakich. Dość umysł jest stały — i mocne przedsięwzięcie, żeby nie zachwiały — same nim Akwilony i choćby nań miało — upaść niebo“ [1] (str. 77). Ludzie sami sobie kują Fortunę [2], sami sobie przyczyną złego, gdy żyją rozpustniej niż zwierzęta (bo te tylko dla rozmnożenia uciech tych używają). Sytości oczywiście znaleźć nie mogą, bo ziemskie uciechy nieśmiertelnemu człowiekowi nie wystarczają. Nie pomną zaś na życie przy-

---

[1]) Jest to oczywiście parafraza Horacego (Carm. III., 3): Iustum et tenacem propositi virum non... mente quatit valida neque Auster... nec fulminantis magna manus Iovis: si fractus illabatur orbis — impavidum ferient ruinae.

[2]) według łacińskiego przysłowia: Unusquisque est faber suae Fortunae.

szłe, na sąd ostateczny, który Dyana opisuje (str. 78), „według wieszczki Frygiej“, to jest na podstawie apokryficznych przepowiedni Sybilli Frygijskiej.

Widok miejsca, z którego niegdyś Pluto porwał Prozerpinę, budzi w Paskwalinie wątpliwości, czy rzeczywiście poniewolnie nikogo Wenus nie pociąga, — oprócz kto się naraża“. Dlaczegoż więc Prozerpina padła ofiarą miłości? — Dlatego — odpowiada Dyana, — że widocznie lubiła myśleć o zamążpójściu, lubiła igrać z małymi chłopiętami. „A niech taką wesołość jako kto chce grodzi. — Wenus z żartu i śmiechu najpierwej się rodzi“ (str. 83). Przestrzegłszy jeszcze Paskwalinę, by natrafiwszy na pewną łąkę, nie dała się uwieść rozkoszy i pamiętała o radach Felicyi, odprawia ją Dyana od siebie.

Nauki, które Paskwalina otrzymała w księdze drugiej, zawierały się już po części w upomnieniach Felicyi z księgi pierwszej, po części zaś pobrzmiewają jeszcze w księdze trzeciej. Jeśli do tego dodamy, że Paskwalina każdemu z nowych gospodarzy i opiekunów księgi drugiej, mniej lub więcej obszernie powtarza swą historyę z księgi pierwszej, nie będziemy jej mogli nie zarzucić ubóstwa wątku, pokrytego tylko, ale nie usuniętego obfitym materyałem mitologicznym. Widocznie Twardowski nie miał tu w ręku tak bogatej w przygody wędrujących Nimf „Diany“ Montemayora, skoro z niej zupełnie nie korzystał, a posiłkował się, jak zobaczymy, głównie Owidyuszem.

Tadeusz Sinko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stare rusko-polskie rody na Rusi
do końca XVI. wieku.

Charakterystyczną jest cechą dla starych polsko-ruskich rodów na Rusi, że one najczęściej siedziały gniazdami i z gniazd tych rzadko po za rubieże Rusi wychylały się. Do takich rodów należą: Woronicze, Chołoniewscy, Wołczkowie, Pawiwowie, Olizarowie, Halecey czyli Chalecey (według pisowni polskiej) i w. in. Genealogia tych rodów rzadko sięga po za połowę XIV. w. i tu już wiadomości są urywkowe, podaniowe raczej, niż historyczne. Występują one na widownię równocześnie z tworzeniem się i rozrostem państwa litewsko-polskiego, ulegają państwowości polskiej, przyjmują kulturę polsko-łacińską i dobrowolnie zlewają się z narodowością polską. Jakkolwiek warują sobie w czasie unii politycznej Polski z Litwą niewielką odrębność, jakbyśmy powiedzieli, autonomiczną, w zakresie języka i religii, jednak nie przywiązują tak wielkiego znaczenia do tego, jak utrzymują najnowsi historycy ruscy i rossyjscy. Powoli, bez przymusu żadnego, wyższe warstwy społeczeństwa ruskiego zbliżają się kulturalnie do polskiego, jednocząc się z niem narodowo i religijnie. W ogóle, z początku pojęcie odrębności narodowej jest u tych warstw nadzwyczaj słabe, powiedziałbym zupełnie nieuchwytne prawie, objawiające się jedynie w odrębności alfabetu i wyznania. Niektore rody, jak Ostrogskich, przywiazane są do wyznania wschodniego, a język liturgiczny uważając za świętość pewnego rodzaju, pielęgnują go tylko jako zwiazany z religią, bynajmniej zaś nie jako narodowy. Językiem towarzyskim, domowym wszystkich wykształconych warstw na Rusi

był język polski. Jakiego języka używał lud ruski w XV., a nawet w XVI. w., a tembardziej XIV., nie wiemy dokładnie, gdyż ułamki literackie, jakie nas doszły, są językiem cerkiewnym lub zbliżonym do polskiego, pomimo odrębnego alfabetu.

Nie mogąc posługiwać się martwym cerkiewnym językiem w życiu codziennem, a ludowy uważając za narzecze, niezdolne jeszcze do kształcenia, a może większości ziemian, a później szlachty rusko-polskiej mało znane, naturalnym biegiem rzeczy przez używanie języka polskiego, jako towarzyskiego, literackiego i państwowego, zbliżało się do narodowości polskiej.

Ściśle rzecz biorąc, różnica między językiem polskim a ruskim, po za obrębem cerkiewnego, tak jak się ona dochowała w dokumentach XIV. i XV. w., wskazywałaby, że ówczesny język ruski był raczej narzeczem polskiem, niż odrębnym językiem. Mikołaj Malinowski, wybitny historyk i paleograf połowy XIX. w., takie w tym względzie słuszne wygłosił zdanie: „Ktokolwiek wczytał się — powiada — czy to w poselstwa, czy nadania, czy wyroki, czy listy XV. i XVI. w. (od czasów Malinowskiego przybyły dokumenty i akty ruskie XIV. w.), pisane głoskami cyrylicznemi, wie dostatecznie, że prócz zakończeń przypadkowania i odmian czasowania, prócz niewielu wyrażeń, językowi polskiemu obcych, wszystkie inne, co do znaczenia i toku mowy, zupełnie są z nim zgodne, do tego stopnia, że przepisując tak ściśle łacińskiemi głoskami, aby ani jednego słowa z miejsca nie ruszyć, ujrzymy przed sobą s z c z e r o p o l s k i e p i s m o z y g m u n t o w s k i e g o w i e k u z tą samą przyciężką powagą, z tą słodyczą z prostoty płynącą i z tą obfitością, która się niekiedy aż w gadatliwość wyradza, jakie znamionują płody tamtych, na zawsze pamiętnych czasów. Jeślibym zatem szedł za mojem własnem przekonaniem i mógł się otrząsnąć z przesądu, niedozwalającego mi zmieniać pisma, które i bez tego jest zrozumiałem, wyznam, że wolałbym wszystkie podobne zabytki po polsku wydawać.“ [1])

Wieksza trudność, niż w czytaniu i rozumieniu aktów i dyplomatów XIV., XV. i XVI. w., pisanych cyrylicą jest w zoryentowaniu się w chaosie tamtoczesnych nazwisk rodów ruskich lub polsko-ruskich, które z czasem przechodziły na polskie i zlewały się doszczętnie z narodowością polską. Również bezprzymusowo, jak zmiana nazwiska, następowała zmiana wyznania wschodniego

[1]) Malinowski i Przeździecki: Z r z ó d ł a d o d z i e j ó w p o l s k i c h. Wilno 1844. T. II. Przedmowa, str. IX., X.

na rzymsko-katolickie, co ostatecznie i nierozerwalnie złączyło te rody z polskiem społeczeństwem i narodem. Spojenie państwowe nastąpiło jeszcze wcześniej i przetrwało w doli i niedoli państwa polskiego aż do naszych czasów.

Rodowe nazwiska ruskie tworzyły się bądź patronimicznie, bądź na podstawie przezwiska, imioniska, lub formowały się wreszcie z nazw obcych językowi ruskiemu, których pochodzenie nie zawsze da się odgadnąć. Najgęściej zdarzały się nazwy rodowe na podstawie patronimicum utworzone, a w ten sposób wytwarzała się identyczność nazw, plątająca się ciągle i trudna do sprostowania przy pomocy chronologii i urzędów tam nawet, gdzie na tej drodze wypada szukać wyjaśnienia.

I. Woronicze.

O genezie tego rodu nic nam niewiadomo. Kojałowicz powiada, że piszą się herbem Paweża, który ma być „takiż jako Herbort", t. j. trzy miecze w jabłku utkwione. Jabłko zielone: pole czerwone. Okolski dodaje, że „nad jabłkiem krzyż, w hełmie pięć piór strusich". Paprocki, rozpisawszy się szeroko o Herburtach, ten sam herb nazywa „klejnotem Herbort". Umieściwszy na tarczy jabłko trzema mieczami przeszyte, tarczę herbową przyozdabia hełmem, uwieńczonym koroną, nad którą unosi się pęk piór strusich. Wspomniawszy o Mierzewskich z województwa Kaliskiego, „którzy się mienią być własnymi Herborty", dodaje: „inszych domów nie masz, którymby ten herb należeć miał".

Zkąd-że Woronowie, Woronowicze i Woronicze do niego przyszli? Nie będziemy rozwiązywać tej zagadki, która zwykle łączy się z jakiemś podaniem rodzinnem, najczęściej na fantazyi opartem.

Ażeby ustalić najbardziej prawdopodobną genealogię Woroniczów do końca XVI. w., zapoznajmy się z nią według najwybitniejszych trzech pisarzy: Paprockiego, Kojałowicza i Niesieckiego. Dwaj ostatni korzystali z Paprockiego, mało co swego dodając, a jeszcze rzadziej opierając się na dokumentach. Przeważnie tradycya rodowa służyła im za podstawę do założenia rodowodu. Kmitowie — powiada Paprocki — wyszli z podolskiej ziemi tym sposobem: gdy często nieprzyjaciel psował bramę onę, Hreor Woronowicz, mając syna jednego, który był mężem dzielnym, obrócił się na Litwę, na służbę króla Władysława Jagiełły, tam

potem znacznego opatrzenia dostawszy, ożenił się. Miał syna Aleksandra, który był u Świdrygiełły hetmanem.[1]) Tenże, na Podolu mieszkając, zbudował i rządził Winnicą, gdzie był potem starostą. Miał synów siedmiu...[2]) Nie wymienia wszystkich, ale wspomina tylko Matwija, który był starostą winnickim po ojcu i protoplastą gałęzi Kmitów Czornobylskich.

Według Kojałowicza „klejnotu Paweża używają Woronowiczowie w W. X. Litewskiem i na Wołyniu. Hrehory Worona, sławny żołnierz z r. 1380. Aleksander Worona, hetman księcia Świdrygiełły, starosta winnicki; Filon Worona, starosta ostrzski, pułkownik Króla Jegomości, sławny. Pod Poczapowem[3]) wojsko Wołka, hetmana moskiewskiego, zniósł, Temkina ze 12 carskich bojar pojmał (1562 r.). Fedor Woronicz, podczaszy kijowski, 30 lat żołnierką służył. Wasyl Woronicz, pisarz ziemski kijowski; Jerzy, rodzony Wasyla, ma osiadłości swe w oszmiańskim powiecie. Synowie jego Jędrzej i Filon".[4])

Oprócz jednej daty, i to niepewnej, bo nie potwierdzonej żadnym dokumentem i dowodem, dalsza chronologia rodowodu Woroniczów nie jest ustaloną pod względem ciągłości, a niekiedy domyślną tylko ze względu na urząd piastowany — o ile i ten wzgląd może być słuszny.

W innem miejscu, pod h. Radwan sowity, Kojałowicz uzupełnia to, co przedtem o Woronach powiedział. Mówiąc o tem, że h. Radwan sowity zażywał dom Woronowiczów na Woronowiczach[5]), dodaje, że Aleksander Worona miał siedmiu synów, z tych wylicza, jako „znaczniejszych", dwóch, Matwija i Jerzego, dodając, że Matwij, przezwany Kmitą, był starostą winnickim mianowany, ale urzędu nie osiadł z powodu śmierci króla Kazimierza. Miał syna Krzysztofa, starostę owruckiego, który „regimentował wojskiem kijowskiem i czerkawskiem".[6])

---

[1]) Był tylko dwa lata w. ks. litewskim (1430—1432).

[2]) Paprocki: Herby rycerstwa polskiego. Kraków 1860, str. 852.

[3]) Malinowski i Przeździecki (II., 310), powołując się na Ustrjałowa i Kurbskiego, mówi o Poczepie, co jest słuszne.

[4]) Kojałowicz: Herbarz. str. 211.

[5]) Dziś Woronowica między Winnicą a Niemirowem w gubernii Podolskiej.

[6]) Według rodowodu Jelca „regimentował" Siemion, brat Krzysztofa.

Synem jego miał być znany w dziejach polsko-ruskich Filon Kmita.[1])

Ponieważ genealogię Woronów-Woroniczów kończymy na wieku XVI., w dalsze szczegóły wdawać się nie będziemy.

Obfitszy w szczegóły jest Niesiecki, dzięki przypadkowemu zetknięciu się z jednym z członków rodziny Woroniczów, ale i tu daty i stopnie pokrewieństwa są niepewne, niejasne i często mylne. Mówi on o genealogii Woroniczów podwakroć: raz przy Jelcach, drugi raz przy Woroniczach; obie wersye uzupełniają się wzajemnie do pewnego stopnia.

Z opowiadania Ignacego Jelca, oficyała kijowskiego, Niesiecki zapisał to samo o Hrehorze Woronowiczu z Podola, co i Paprocki; tak samo i o Aleksandrze, dodając, że „według tej genealogii Aleksander miał tylko jednego syna, Hrehorego, czyli Hrydźka, którego siedmiu synów wylicza. Pierwszym był Piotr, ten zostawił dwóch synów: Niemirę i Czereśnię, czyli Czersasnię; pierwszy, Niemira, stał się przodkiem Niemierzyców w Kijowskiem, Czereśnia — Czerlinskich, czyli Czerlinkowskich. Tym synom Piotra, Niemirze i Czereśni, dekretem swoim przysądził niegdyś król polski bojarów Koteczyszcza[2]), jako wysługę Piotra Hryćkiewicza". „Drugi syn Hrehorego, Tymsza, czyli Tysza, którego też Byk zwano, od którego idzie familia Tyszów Bykowskich". „Trzeci syn Matwij, którego syn, Kiryan albo Kmita, był autorem familii Kmitów Czarnobylskich, od których był Filon Kmita, wojewoda smoleński". „Czwarty, Eleazar (Łazar), albo zwyczajnym Rusi językiem Olizar, na jedno oko ślepy, atoli wielki wojownik". „Głuchy Wołczek" zwano go; od niego początek wziął dom Olizarów Wołczkiewiczów. Dowodem tego jest list Kmity, w którym świadczy, że przedał dobra Korostyszów Olizarowi, bratu swemu. Piąty — imienia niewiadomego, — Worona nazwany, familii Woroniczów w województwie kijowskiem przodek[3]); ci inszy herb na siebie

---

[1]) Kojałowicz: Herbarz, str. 257, 258.

[2]) W r. 1545 Koteczyszcze posiadał Prokop Uhrynowski (A. J. Z. Rossii, część IV., t. I., str. 47).

[3]) Zdaje się, że ten właśnie Worona wydzielił się z rodziny i na Ukrainie szukał powodzenia, gdyż istotnie w województwie kijowskiem znajdujemy Woronów, jako ziemian. Jeśli tak jest, to Woronę, syna Hryćka Iwaszkowicza znajdujemy w starostwie kaniowskiem w r. 1552, gdzie nad Dnieprem założył wieś Woronowo, zapewne późniejszy

pod unią Litwy z Koroną przyjęli. Szósty, nazwany Holenka, od którogo Hrykowie i Hojscy (Hosscy) swoją linię prowadzą. Siódmy Ihnat, nazwany Jelec."

Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to prastary ród, może bojarski, który albo sam się uszlachcił, co się bardzo często zdarzało, albo należąc do domu Herburtów i walcząc pod ich godłem, przyjął je za własne. Tu zaś nasuwa się trudność pogodzenia tradycyi Herburtów z nazwiskiem Worony i Woroniczów o brzmieniu wybitnie ruskiem. Według Paprockiego, Herburtowie przybyli z Morawy, a Władysław ks. Opolski dał im do dzierżenia trzy miasta: Lwów, Sanok i Przemyśl. Jeśli Woronowie przybyli z Herburtami, to musieli z nimi razem osiąść, tymczasem ani w ziemi lwowskiej, ani sanockiej, ani przemyskiej Woronów i Woroniczów nie ma. Nie występują oni nietylko równorzędnie z Herburtami w okresie ich przybycia, ale lustracye tych starostw nie wykazują ich jeszcze prawie do końca XVI. w.[1]).

Znajdujemy ich natomiast na Podolu w połowie XVI. w., gdzie się już piszą — Woroniczowie, o czem później mowa będzie.

Najbliższym prawdy będzie pono Kojałowicz, który Woronów-Woronowiczów-Woroniczów zalicza do rodów litewsko-wołyńskich, mieniąc prapradziadem rodu Hrehorego Woronę, jako „sławnego żołnierza" pod rokiem 1380. Do tej uwagi dodaje, że „tego klejnotu używają Woronowiczowie w Wielkiem Księstwie Litewskiem i na Wołyniu" [2]). Ten nieznany bliżej Hrehory zdaje się być protoplastą rodu, gdyż Niesiecki, posiadając genealogię Woroniczów od Jelca Ignacego, oficyała kijowskiego spisaną, a pokrewnego Woroniczom, także „Hrehorego Wo-

---

Woronów (Archiw Jugo-Zap. Rossii, część VII., t. I., str. 98, czyt. Opisanie kaniowskiego zamku w r. 1552).

Nie wyklucza to bynajmniej istnienia nazwiska Woronów w Kijowszczyźnie, które jednak nie ma, o ile sądzić można według stanu, żadnej wspólności z Woronami-Woroniczami, o których piszemy. Tak n. p. Rewizya zamku kijowskiego za Zygmunta I. (między rokiem 1543 a 1548) do mieszczan zamkowych zalicza Miśka Koziełła Woronę. (Malinowski i Przeździecki: Źrzódła do dziejów polskich. Wilno 1844, t. II., str. 132).

[1]) Żereła do istorii Ukrainy Rusi, t. II., III., 1897, 1900. Lustracye królewszczyzn i ziem przemyskiej, bełzkiej, lwowskiej.

[2]) Kojałowicz: Herbarz, wydanie Piekosińskiego (Herold polski), str. 211.

ronowicza z Podola“ na czele domu Woroniczów stawia, dodając i ten szczegół, że „gdy nieprzyjaciel krainy one najeżdżał i pustoszył, wyniósł się na Litwę, na służbę do króla Władysława Jagiełły“ [1]). Tradycya rodzinna, zgodnie z Kojałowiczem, wymienia jako syna Hrehorego A l e k s a n d r a, „który u Swidrygiełła książęcia był hetmanem, a na Podolu, mając jeszcze ojczyznę swoją, zbudował i osadził Winnicę, gdzie potem był starostą“ [2]). Od Aleksandra tradycya rodzinna nie zgadza się z dokumentami. Paprocki utrzymuje, że Aleksander miał siedmiu synów, a genealogia rodzinna obdarza go jednym synem H r e h o r y m, który miał mieć siedmiu synów [3]). Kojałowicz o synach Aleksandra nic nie mówi.

Od początku znanego nam wystąpienia rodziny Woronów na widownię dziejową, posiada ona aż do końca prawie XVI. wieku nieustalone nazwisko: W o r o n a, W o r o n o w i c z e, W o r o n o w i e c c y i W o r o n i c z e. Patronimiczne zakończenie dwóch ostatnich nazwisk wskazuje wszakże niezbicie, że protoplastą rodu jest W o r o n a, co zresztą i dokumenty potwierdzają, jak obaczymy.

Na A l e k s a n d r z e kończy się zgodność wiadomości genealogicznych Paprockiego, z którego korzystali inni, i tradycyi rodzinnej, dotyczącej następczych linij rodu Woroniczów. Wątek tradycyi zatracił się; a nawiązanie jego z następnem potomstwem stało się niemożliwem z powodu braku dokumentów. Wydobyto je dopiero na jaw w naszych czasach, co do pewnego stopnia ułatwia bodaj częściowo sprostowanie niedokładności, a szczegóły tradycyjne możemy wyjaśnić i uzupełnić. Mimo wszystko niepodobna się ustrzedz mniej lub więcej prawdopodobnych domysłów tam wszędzie, gdzie brak genealogicznego połączenia.

Gniazdem rodowem Woroniczów zdaje się być „sieliszcze W o r o n o w o“ w pobliżu Horynia, w dzisiejszym powiecie krzemienieckim. Nie wiemy, który z Woronów posiadał je, znajdujemy je tylko wymienione w najdawniejszym znanym nam dokumencie, gdzie jest wspomniane w nadaniu w. ks. Witołda, z r. 1420, słudze swemu Pawłowi posiadłości w ziemi wołyńskiej [4]). Z tych Woronów zapewno pochodził I w a s z k o W o r o n a, pominięty przez

[1]) Niesiecki, t. IV., str. 477. Wydanie Bobrowicza w Lipsku: H e r b y r y c e r s t w a p o l s k i e g o, Kraków 1860, str. 852

[2]) Niesiecki, t. IV., str. 477.

[3]) Ibidem, str. 477.

[4]) A r c h i w u m k s. S a n g u s z k ó w w Sławucie, t. I., str. 25. Dziś wieś Woronowce, w pow. krzemienieckim.

heraldyków i tradycyę rodzinną, który w rodowodzie Woroniczów występuje po raz pierwszy w ściśle określonym charakterze, jako ziemianim żytomierski. Kazimierz Jagiellończyk, rozdając bojarom żytomierskim i kijowskim włoście na wyżywienie, między rokiem 1482—1491, nadaje Iwaszkowi Woronie włość Choten, w ziemi kijowskiej [1]). Rodowe nazwisko Woroniczów jeszcze się nie ustaliło.

Ten nieznany protoplastom Woroniczów Iwaszko, pominięty w rodowodzie Jelca, mógł być synem Aleksandra i na jednym z dokumentów z r. 1477 podpisał się „Iwaszko Aleksandrowicz, Podskarbi królewski (Podskarbij hospodara naszoho Korola Jeho Miłosti)" [2]). Było to nietylko zgodne z charakterem tworzenia się nazwisk rodowych ruskich, ale dawałoby mu pewnego rodzaju prawo do korzystania z łaski królewskiej; ztąd nadanie Chotenia pod Kijowem i późniejsze, o których zaraz wspomniemy.

Ponieważ rodowe nazwisko Woroniczów jeszcze się w pisowni nieustaliło, Iwaszko, zwany Woroną w nadaniu Kazimierza Jagiellończyka, za Aleksandra Jagiellończyka figuruje już jako Woronicz. Prosił on króla o „sieliszcze Krosznie" w powiecie żytomierskim i otrzymał je „za wierną służbę" „z ludźmi, z bobrowymi gony i ze wszystkiem tym, co ku temu sieliszczu przysłucha". Nadanie miało miejsce w r. 1506. Wwiązania w tę majętność dokonał wojewoda kijowski, kniaź Iwan Worona Hliński [3]).

Zygmunt w r. 1511 potwierdził powyższe nadanie, nadając Krosznię prawem dziedzicznem „jemu samemu, i jego żence, i jego dzieciom i na potym będącym jego szczadkom" z prawem „oddać (je), przedać, zamieniać i rozszerzać" [4]).

Nie wiemy napewno, kiedy umarł ów Iwaszko. Wiemy tylko, że miał brata Gniewosza, o którym później będzie wzmianka. Pozostawił on synów: Iwaszka, Hrycia, Jochnę (Jura?) i dwie córki: Owdotję i „mniejszą", nieznana z imienia i zmarłą zapewne w dzieciństwie. Testamentem zapisał on na Kroszni córce

---

[1]) Archiw Jugo-Zapad. Rossii, cz. VII., t. II., str. 16. Spis miejscowości w ziemi kijowskiej (Połnoje sobr. rus. lietop., VII., str. 240). Choteń będzie prawdopodobnie dzisiejszy Chotów w gub. kijowskiej, tegoż powiatu.

[2]) Archiw J. Z. R., cz. VII., str. 48.

[3]) Ibidem, str. 49.

[4]) Archiwum ks. Sanguszków, t. II., str. 77.

Owdotii 30 kóp groszy litewskich [1]). O „mniejszej“ wzmianki nie było.

Z powodu tożsamości imion nastąpiła gmatwanina, która wprowadziła w błąd informatorów Paprockiego, Kojałowicza i Niesieckiego, co się tyczy rodowodu Woronów. Powstała ona z powodu imion Aleksandra i Iwaszka. Iwaszko Worona z Kroszni miał, jak widzieliśmy, synów Iwaszka, Hrycia i Jochnę. Otóż Hryć Iwaszkowicz był ojcem Aleksandra, a nie synem jego, i ten miał rzeczywiście sześciu synów i jedną córkę. Jelec, który informował Niesieckiego, nie miał w ręku dokumentów rodzinnych, o protoplastach przeto rodu posiadał wiadomości niepewne i bałamucił się tożsamością imion, gdy w okresie bliższym jemu już mógł znać lepiej rozgałęzienia genealogii rodzinnej. Musimy przeto pierwszą część rodowodu Woroniczów oprzeć na dokumentach już cytowanych, gdy dalsze rozgałęzienia się, o ile nie znajduje potwierdzenia w dokumentach późniejszych, muszą opierać się na Niesieckim, względnie Jelcu.

Iwaszko Worona miał brata Gniewosza, który „wysłużył“ sobie u króla Aleksandra „imienie“ Łowków [2]). Stryjeczna linia zwała się Gniewoszami lub Gniewoszowiczami i zatraciła rodowe nazwisko Woronów. Tę gałęź pomijamy przeto zupełnie, wspominając o niej przy sposobności. Natomiast potomstwo z pnia Iwaszka Worony rozrodziło się nader licznie. Po za rozgałęzieniem praojca rodu Hrehorego, istniały jeszcze tu i tam na Rusi sporadycznie różne wzmianki o Woronach i Woroniczach, które się jednak nie dadzą ściśle powiązać z pniem macierzystym Woronów.

Wróćmy tedy do Iwaszka, właściciela Kroszni. Kiedy on umarł — niewiadomo. Prawdopodobnie musiał żyć jeszcze około dziesięciu lat po potwierdzeniu nadania na Krosznię przez Zygmunta, bo już w r. 1523 rozpoczął się spór rodzinny na tle podziału majątku, pozostałego po Iwaszku. Zdaje się, że Owdotja, w roku sporu jeszcze panna, a później żona Strybla, była jedyną córką w czasie śmierci ojca, bo zostawiwszy Krosznię synom do podziału, Owdotii zapisał na tej majętności 30 kóp groszy litewskich. Po śmierci ojca objęła ona Krosznię, zapewne w nieobecności braci, zasłaniając się tem, że ojciec wywianował ją na Kroszni we 30

[1]) Archiw. Jugo-Zap. Rossii, cz. VII., t. I., str. 50, 51. Dział majątkowy między dziećmi Iwaszka Worony z r. 1523; takiż dział z r. 1538.

[2]) Ibidem, str. 127.

kopach. Iwaszko Woronicz zaskarżył siostrę, że imienie dzierży a jemu z braćmi postąpić nie chce. Owe 30 kóp miały wynosić „statki“, zapisane jej przez ojca, które stryj Gniewosz zabrał jakoby i oddał macosze Iwaszkowiczów. Pokazało się jednak z zeznań Iwaszka, że był drugi testament, późniejszy, złożony do rąk Gniewoszowi, „w którym wszystko jest, co ojciec każdemu zapisał“ [1]. Testamentów obu w dokumentach nie znajdujemy, ale był on prezentowany komisarzom, wyznaczonym przez Króla do rozpatrzenia sporu, na czele których stał książę Konstanty Iwanowicz Ostrogski, wojewoda trocki i starosta bracławski. Listem sądowym Iwaszko Worona zobowiązał się zapłacić siostrze 30 kóp jako wiano i „Krosznię ku swym rękom mieć“ [2]. Oznaczono terminy spłaty na „trzy roki“, a gdyby w tym czasie dług nie był spłacony, Owdotja miała się w imienie wwiązać.

Tymczasem Iwaszko Worona umarł i długu siostrze niezapłacił. Sprawa spłaty i podziału ojcowizną przeciągnęła się przez lat piętnaście. Owdotja wyszła za mąż za Strybla. Odnowiła się znowu sprawa wiana i podziału przed Szymona Hlebowicza Prońskiego, dzierżawcę żytomierskiego. Sprawę wytoczył Jochno-Juchno Woronicz na brata Hryćka Woronicza, że sieliszcze Krosznię dzierży całą, mimo to, że po śmierci Iwaszka, który z zapisu się nie uiścił, dług natomiast siostrze Owdotii on, Juchno, spłacił, dodawszy jeszcze konia za 5 kóp groszy. Hryćko powołał na świadectwo siostrę, Owdotję Stryblową, która zeznała, że rzeczywiście otrzymała od Hryćka 30 kóp. Z tego wynikałoby, że obaj bracia zapłacili siostrze po 30 kóp. Jak się to stało, nie mamy wyjaśnienia. Proński wydał wyrok salomonowy: kazał Juchnowi zwrócić Hryćkowi 15 kóp i $2^1/_2$ kopy za konia, a imienie na poły dzielić [3].

Załatwiwszy się na razie z działem Kroszni, obaj Woronowie zwrócili swoje usiłowania ku zabezpieczeniu całości i praw używania posiadanej majętności. Brak stałego rozgraniczenia posiadłości ziemskich i określenia granic używalności dawał ciągle powody do sporów i zatargów, a jedynem prawem w takich razach stawało się prawo dawności. Owe tak skromnie zwane „sieliszcze Kroszna“ było ogromnym obszarem leśnym, o którego ogromie nie możemy mieć należytego pojęcia nawet; jedynie wnioskować o tem możemy z przynależności do Kroszni, jako centrum ekono-

---

[1]) Akty Jużnoj i Zapad. Rossii, cz. VII., t. I., str. 49.
[2]) Ibidem, str. 50.
[3]) Archiw Jugo-Zapad. Rossii, cz. VII., t. I., str. 51.

micznego, różnych tak zwanych „ziem“. Na tem tle, braku granic, Hryćko i Jochno Woronowie zaskarżyli dzierżawcę Szymona Hlebowicza Prońskiego, że w majętności Krosznia odjął ziemię Olexiowczyznę i oddał ihumenowi żytomierskiemu, a drugą ziemię Chantalińską do zamku przywrócił. Woronowie powołali się i złożyli, jako dowód własności, nadanie królów Aleksandra i Zygmunta. Zygmunt osobną hramotą do księcia Prońskiego z dnia 18 sierpnia 1539 r. nakazał Prońskiemu nie robić krzywd Woronom, w ziemię Olexiewszczyznę i Chantalińską nie wstępować się, a w ogóle żadnej krzywdy Woroniczom nie wyrządzać, bo „oni na tej Ukrainie są potrzebnymi nam sługami“ [1]). Oprócz tego uskarżali się obaj Woronowie na nadużycia władzy zamkowej, która zabraniała im wozić i sprzedawać miód przasny w Żytomierzu, brała dziesięciny od samych właścicieli i ich ludzi, na straż zamkową brała po groszu od wszystkich co miesiąca, chociaż żadnej straży nie bywało i t. p. Tymczasem na urzędzie żytomierskim zaszła zmiana: zamiast księcia Prońskiego dzierżawcą został książę Bohusz Fedorowicz Korecki. Ponieważ skarga tyczyła się nie osoby, ale urzędu dzierżawcy, Woronowie zaskarżyli o te same nadużycia księcia Bohusza Koreckiego, a rozpatrzenie sprawy polecono Fedorowi Iwanowiczowi Jelcowi. Krzywdy, o które skarżyli Hryćko i Juchno Woronowie, polegały na tem, że urząd żytomierski dzierżawcy ks. Koreckiego ludzi krosznianskich sądził, winy na siebie bierał, w „ojczyznę“ Woronów strzelców wysyłał, zwirza łowił i strzelał, bobry na siebie gonił i t. p. Sąd ziemiański, w którym uczestniczyli Fedor Jelec, Harasym Andrzejowicz Chalecki i inni, wydał list sądowy z 27 września 1540 r., mocą którego Woronowie utrzymali się przy wszystkich pretensyach, na mocy zeznań świadków [2]). Ale ostateczna decyzya nastąpiła dopiero we dwa lata prawie później, po zasięgnięciu informacyi u księcia Prońskiego i została ustalona listem wojewody kijowskiego, Janusza Jurjewicza Olszańskiego. Sprawa toczyła się głównie, a można powiedzieć nawet wyłącznie, o prawo polowania w lasach krosznianskich i prawo gonienia bobrów. Ponieważ świadkowie zeznali, że zawsze ludzie starostwa żytomierskiego goniwali bobry z połowicy — przyznano i nadal to prawo. O innych żalach i skargach w liście nawet wzmianki nie zrobiono. Musiały się te stosunki ułożyć zgodnie, bo w dalszych dokumentach już do tych

---

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rossii, cz. VII., t. I., str. 50, 51.
[2]) Ibidem, str. 53—55.

skarg nie wrócono. List wojewody miał datę 28 maja 1542 roku, pisany w Ostrzu [1]).

Hryćko i Jochno Woronowie władali całem imieniem dziedzicznem pospólnie aż do śmierci Jochna, która niewiadomo kiedy nastąpiła. Jochno-Jur, już nie występujący w procesie, jako zapewne nieżyjący, miał córkę Annę, zamężną Sokorową, i syna Andrzeja. Prawdopodobnie Hryćko nie wydzielił części należnej Andrzejowi, który doszedłszy do pełnoletności zażądał podziału majątku dziedzicznego, już rozrosłego w kilka folwarków. Obaj tedy — powiada list dzielczy — „uczynili zmowę i postanowienie dział wieczysty i porównanie imion wieczystych na imię Kroszni, Trojanowcy, Mokratycze, Denesowicze i Chantalni". Ów zapis na podział, zrobiony w roku 1559 dnia 30 czerwca [2]). Dział ten obejmował nietylko majętności, położone w powiecie żytomierskim, ale także Milkiewicze pod Połockiem i dotyczył wszystkich kompletnie szczegółów i działów gospodarstwa wiejskiego — do tego stopnia, że dzielono się lasem, łąkami, rudami żelaznemi, polami obsianemi i t. d. Bardzo ciekawe szczegóły, wskazujące charakter owoczesnego gospodarstwa, obejmuje list dzielczy, który w niniejszym genealogicznym zarysie pomijamy [3]).

Dział majątkowy bynajmniej niezabezpieczył Woronów-Woroniczów kroszniańskich od dalszych niepokojów granicznych. Mało nie 50 lat upłynęło spokojnego władania, gdy starosta żytomierski „przeszedłszy przez granicę starożytną kroszeńską, w grunty, sianożęci, bobrowe gony, bory, lasy wstępować się gwałtownie począł". Tym razem wystąpili w obronie całości i nienaruszalności imienia Aleksander Woronicz i Hryhor Sokora, mąż Anny Jurjewny Woronianki. Aleksander był prawdopodobnie synem Hryćka-Hrehorego. Trudno przypuścić, aby był bratem Hryćka i Jochna, gdyż w czasie działów majątkowych po Iwaszku Iwaszkowiczu byłaby o nim jakakolwiek wzmianka; również mało prawdopodobnem byłoby przypuszczenie z tego względu, że w r. 1595, kiedy wyniknął spór graniczny między Woronami a starostą żytomierskim, żaden z męskich potomków starego Iwaszka Worony już nie żył.

---

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rossii, cz. VII., t. I., str. 56.
[2]) Ibidem, str. 57.
[3]) Ibidem, str. 60, 61.

Aleksander Woronicz i Sokora na sądzie komisarskim granicznym stawili, oprócz znanych już nam dokumentów, świadczących o posiadaniu Kroszni z prawami jej przysługującemi właścicielom, 18 świadków ludzi wiarogodnych i świadków, którzy stwierdzili tak prawa używalności, jak i prawa majętności krosznianskiej, które wraz z dekretem komisarskim zostały wpisane 15 października 1595 r.[1]) do ksiąg grodzkich kijowskich.

W takich rozgałęzieniach, sporach i układach przedstawiała się linia Iwaszka Worony krosznianska do końca XVI. wieku — jak się zdaje starsza.

Jakkolwiek wsie, należące do zamków hospodarskich lub też puste ziemie, „pustowszczyny", prawem wysługi rozdawano ludziom zasłużonym, jednak nakładano na nie pewne obowiązki: bądź w formie robocizny na zamek, bądź służby osobistej z bronią, bądź wreszcie danin różnych, „poduczek" na zamek. Każdy jednak, otrzymawszy taką wysługę, starał się zrzucić z siebie obowiązki, przywiązane do tego, lub je zmniejszyć, korzystając często z niejasnej formy nadania. Ale ta niejasność właśnie była bronią obosieczną, bo starostowie, opierając się na tem, że jakaś posługa nie była wymieniona, żądali jej. Ztąd liczne skargi i procesy. Nie uniknęli, jak wiemy, tego i Woronicze. Pomimo przeto wygrania procesu ze starostami, lustratorowie zamku żytomierskiego jeszcze w r. 1545, broniąc interesu państwa, uskarżali się, że z Kroszni była dawniej „służba zamkowa", a obecnie jej nie ma: Woronowie obrócili ją na własny pożytek, posadzili ludzi dannych dla własnej korzyści i dla siebie bobry gonią. Uskarżali się również, że Hryćko Worona zagarnął sobie Olexiejowszczyznę, którą niegdyś Kuźma Mały trzymał[2]).

Tak samo postąpił sobie i Stećko Worona, który trzymał Łowków[3]).

Jako ziemianie hospodarscy, z zamkiem związani, mieli tam swoje „place" Stryblowie, Hryćko Worona, Tysza-Bykowski, Stećko i Mikołaj Hniewoszowicze[4]) i inni. Posiadając swoje posiadłości

---

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rossii, cz. VII., t. I., str. 62—64, potwierdzenie tego rozgraniczenia listem Władysława IV. z r. 1640 (ibidem, str. 417).

[2]) Ibidem, str. 138, 139. Rewizya zamku żytomierskiego w r. 1545.

[3]) Ibidem, str. 138.

[4]) Ibidem. Rewizya zamku żytomierskiego w r. 1552, str. 147.

ziemskie. „sieliszczcza“ w obrębie przynależności do zamku żytomierskiego, jakkolwiek od posług uchylali się sami. ludzie, zamieszkujący ich „sieliszcza“, składali pewne daniny do zamku, i tak: z Trojanowiec, gdzie było „trzy potuhi“, dawano tylko 1½ kadzi miodu; z Mokratycz trzy wiadra, z Krosznі, gdzie było również „trzy potuhy“, dawano 7 wiader miodu; z Szumska, gdzie było „siedem potuhów“, dawano 3 kadzie miodu [1]. Wszystkie te posiadłości należały w owym czasie do Hrycia Worony. „Ziemianie i ludzie. do ich wsi należący — powiada lutrator. — chociaż mieszkają na wsi, przeciez dla popłochu od Tatarów ustawicznie w lecie i w zimie w domach swoich w mieście przemieszkują“ [2].

Do zamku żytomierskiego należały także „potuhy służebne“, ludzie. obowiązani do pewnych posług zamkowych, a będący w zupełnej zależności starostów. którzy mogli tych „potużników“ nawet z ich ojczyzny „spędzać“. a rozdawać ją innym dla własnej dogodności. I tak: książę Korecki. starosta żytomierski. „zegnał otczyca Procka“ z jego ziemi. oddając go Juchnie Woroniczowi w celu zjednania go — jak powiada lutrator — „za boj“. Czyby to miało znaczyć, że go chciał mieć przy sobie na wypadek potrzeby wojennej? — Nie wiem. W czasie rewizyi i opisania zamku żytomierskiego 2 września 1545 r., spisując wszystkich ziemian wraz z ich ludźmi, należącymi do zamku, zapisano Hryćka Woronicza, jako właściciela imienia Trojanowcy i Mokratycze, dziedzicznych i przykupionego Szczożemsko u Makarowicza. jakoteż wysłużonego przez ojca jego Iwaszka Krosznі, zaś Stećko, syn Gniewosza, posiadał Łowków, wysłużony u króla Aleksandra przez ojca jego [3]. Gałęź Gniewosza Worony, przybrała z czasem nazwisko Gniewoszów i Gniewoszowiczów, a w ten sposób pierwotne pochodzenie rodowe nazwiska Woronów zatarła.

Rozrodziła się natomiast gałęź Hryćka Worony, siedząca na Krosznі.

Hryćko i Stećko Woronicze z imienia swego ojczystego obowiązani byli swoim kosztem utrzymywać basztę w zamku żytomierskim. a oprócz baszty trzy horodnie pokrywać, naprawiać

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rossii, cz. VII., t. I., str. 150. Opisanie zamku żytomierskiego z r. 1552.

[2]) Ibidem, str. 151.

[3]) Ibidem, str. 127.

i obmazywać; Hryćko z Kroszni i Szumska dwie horodnie, a Stećko z Łowkowa — jedną[1]).

We trzy lata prawie po dokonaniu i ustaleniu granicy między majętnościami krosznianskiemi a starostą żytomierskim, bo w r. 1598. wyniknał znowu spór graniczny między wołością czudnowską, wiiską, starostwem żytomierskiem a majętnością Krosznia, ale Woronowie na grunt nie przybyli i nikogo upełnomocnionego nie przysłali; sprawa ta przeto nie została rozwiązana. Równocześnie z nią był podniesiony spór o podział majętności Trojanowic, Mokratycz, Chantelina, Deneszów i Kroszni, leżących, jak wiemy, w powiecie żytomierskim, województwa kijowskiego. Anna Sokorowa z dziećmi, a właściwie z mężem swoim Hrehorym Sokorą, synem Andrzejem, a może i córką, bo od ich imienia było życzenie wyrażone, zażądała podziału krosznianskich majętności od Aleksandra Hryhorowicza Worony, dotychczas używanych wspólnie. W jaki sposób ten podział uskutecznił się, w znanych nam dokumentach nie znajdujemy[2]).

Ów Aleksander Hryhorowicz był niewątpliwie synem Hrycia Iwaszkowicza, który Andrzeja z praojcowskiej ojczyzny wydzielał, gdyż innego Hrycia, oprócz Iwaszkowicza, nie znajdujemy w tej linii równocześnie między Woronami; ale co dziwniejsza, że Jelec, wyliczając Niesieckiemu progeniturę Hrycia Iwaszkowicza, o Aleksandrze nie wspomina — chyba, żeby to było drugie imię któregoś z synów Hryćka, a może nieznany bliżej Holenka był zdrobnieniem Aleksandra. W każdym razie filiacya tego Aleksandra dokładniejsza, jak na teraz, nie da się wyszukać. Podwójne imiona w każdym rodzie, a więc i Woroniczów zdarzały się: Daniel-Jury Woronicz był skarbnikiem kijowskim[3]), posiadał „dwór“ w Kijowie, na dzisiejszym Padole, i wciągnął do ksiąg grodzkich kijowskich laudum sejmiku żytomierskiego z r. 1650, wyrażające zgodę szlachty na pospolite ruszenie w razie niebezpieczeństwa, grożącego od Chmielnickiego.

Znany nam spór o podział majętności między Aleksandrem Hryćkowiczem a Hrehorym Sokorą: spór potomków dwóch braci Hrycia-Hrehora i Juchny-Jerzego o spuściznę po Iwaszku Aleksandrowiczu, ale Hryc Iwasz-

---

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rosssii, cz. VII., t. I., str. 128.

[2]) Ibidem, str. 257.

[3]) Pamiat. izdanyje wremien. Komisijeju. Wyd II. Kijów. T. II., str. 481, 576.

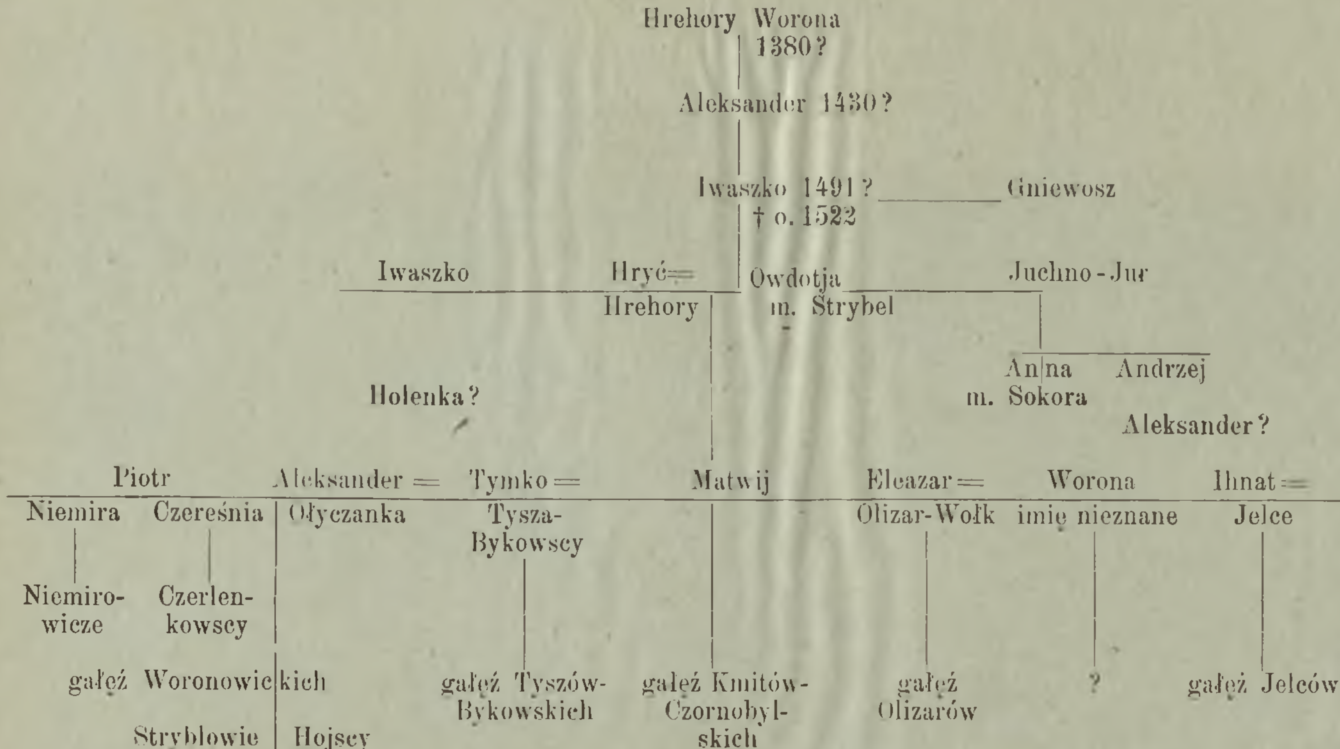
kowicz miał także innych synów. Jaki był udział ich w majątku ojczystym? Zupełnie nie wiemy. Wiemy tylko, że utworzyła się gałęź Tyszów-Bykowskich po Tyszy-Tymku, Kmitów po Matwieju, Olizarów po Eleazarze, Jelców po Ihnacie Jelcu i nieznanych nam bliżej Woronów z Kijowszczyzny, zapewne głębszej, po Woronie. Trudno przypuścić, aby oni zrzekli się dziadowskiego mienia. Ale to nie ulega wątpliwości, że potworzyły się nowe rozgałęzienia rodowe, wymagające osobnych monografij. Jest to zadanie, którego autor bynajmniej przed sobą nie miał — o ile się ono tyczy całości rodowodu Woroniczów.

Głównie szło o to, ażeby przykładem na jednej z wybitniejszych rodzin wołyńskich wskazać początek i rozradzanie się rodu — typowe poniekąd dla powstawania rodów szlacheckich na Wołyniu.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Dokończenie nastąpi).

(Na odwrotnej stronie genealogia Woroniczów):



Genealogia Woroniczów.

Pierwiastek autobiograficzny
w poezyi polskiej XVI. w.

Epoka Odrodzenia nosi niedarmo to najzaszczytniejsze w dziejach kultury ludzkiej miano. Człowiek średniowieczny począł się dusić w ascetycznej włosiennicy, którą nań wdziała dłoń Św. Augustyna, twardy bicz rzemienny zaciążył mu w ręku, wzniosłe ideały, ukazujące życie po za grobem dopiero, przestały sycić łaknących i spragnionych. Człowiek średniowieczny zapragnął zerwać z okrwawionych pleców pokutnicze szaty, narzędzie męki odrzucić precz, a wolnem odetchnąć powietrzem, ucieszyć się słońcem, ucieszyć się sobą i życiem. Ciało nieposkromione w umartwieniach i duch, tęskniący do pełni wszechstronnego rozwoju — odniosły tryumf w walce z ponurą ascezą wieków średnich. I wtedy to w słonecznej Italii trysnęło życiodajne, odradzające źródło, popłynęło wartkim strumieniem, coraz olbrzymiejąc w biegu; popłynęło przez kraje niosąc ludom swe upajające, ożywcze wody, — popłynęło przez wieki, stając się dla pokoleń całych wodą chrzcielną; — i my jeszcze dziś ze źródła tego chrzest bierzemy na ludzi nowożytnych, bo epoka nowoczesnej kultury, która się wówczas poczęła, jeszcze dziś trwa — nieskończona.

Przewspaniała sztuka Odrodzenia — jeden z objawów odradzającego się życia, — to sztuka wiekopomnych, wiecznotrwałych odkryć. Odkryto życie, odkryto świat, odkryto człowieka, — a wreszcie — co najważniejsze może — w epoce Odrodzenia artysta

odkrył samego siebie. Nie paradoks to bynajmniej, ale najszczersza prawda. Jeśli byli twórcy w średniowieczu, to zgoła nie mogli mieć oczu dla samych siebie. Jakże dojść do zrozumienia sił własnych, do oceny własnej wartości i przyznania sobie słusznie. czy niesłusznie miejsca wśród żyjących i przyszłych pokoleń. jeśli każda myśl o sobie jest głosem szatana, jest grzechem śmiertelnym pychy. od której egzorcyzmami bronić się wypada — chyba, że jest myślą pogardy dla siebie. Poeta Odrodzenia po raz pierwszy od wielu wieków zrozumiał, że jednak on sam jest właściwie twórcą swych dzieł i budowniczym swej sławy, — i odkrycie to go oślepiło. Z jednego krańca duch ludzki — jak to zwykle bywa — wpadł w kraniec przeciwny: uwielbienia, adoracyi dla siebie. Tak powstał kult osobowości, dumne samopoczucie własnej odrębności indywidualnej; tak powstał i rozwinął się indywidualizm jako jeden z głównych czynników nowożytnej kultury.

Indywidualizm stał się dla ludzi Odrodzenia sztandarem, w imię którego wystąpiono do walki z butwiejącą kulturą średniowieczną, a miał się stać także orężem zwycięstwa. Nie nadarmo wszak taki Leon Battista Alberti powtarzał[1]) — zgodnie zresztą ze wszystkimi przodownikami nowej kultury, — że „ludzie wszystkiego mogą dokonać, cokolwiek tylko zapragną dokonać istotnie", a w zakresie sztuki: że każdy utwór ludzki, zgodny z zasadami piękna, jest rzeczą prawie boską. Nie dziw, że ci, którzy takiego nabrali pojęcia o własnych swych siłach i tak ocenili własne swe dzieła. — nie dziw, że hasło: być sobą — uznali nietylko za najwyższy dogmat twórczości, ale także za najdoskonalszą zasadę życia, choćby nawet — jak się niebawem okazać miało — z pogwałceniem praw etycznych i socyalnych.

Poeta Odrodzenia. postawiwszy samego siebie na ołtarzu swej wiary, rzecz jasna, konsekwentnie musiał uznać swe przeżycia, wrażenia, uczucia, myśli i wreszcie własną swą osobę za przedmiot godny natchnienia i poezyi. Ztąd równorzędnie z rozwojem samopoczucia odrębności indywidualnej rozwija się tak wspaniale w nowej poezyi pierwiastek subjektywny. Poeta subjektywny, przesiąknięty poczuciem własnej wartości, już nietylko swą osobowość. ale wprost samego siebie wprowadzić może do swej poezyi, swe dzieje, swe drobne sprawy życiowe, swe pokrewieństwa i sympatye — słowem: na podłożu wspaniałego rozwoju indywidualizmu

[1]) Za dziełem Jak. Burckhardt'a: „Kultura Odrodzenia we Włoszech", t. I., str. 128. Kraków 1905.

w ogóle, a subjektywizmu twórczego w szczególności. w poezyi Odrodzenia występuje pierwiastek autobiograficzny, jako wyraz kultu dla samego siebie.

Jeśli uznać „La vita Nuova“ Danta — śliczną, pełną szczerości i wdzięku historyę miłości poety dla donny Beatrice di Portinari. a zarazem komentarz do cyklu sonetów i canzon miłosnych — jeśli „La vita Nuova“ uznać za pierwszy objaw budzącej się świadomości indywidualizmu w duszy człowieka napoły średniowiecznego jeszcze, a napoły już nowożytnego. — tedy już koniec XIII. wieku (lata 1292—1300) przyniósłby nam pierwszą autobiografię poetycką. Potem przychodzi list Petrarki „Do potomności“, gdzie poeta odmalowuje siebie. swą istotę wewnętrzną, wypowiadając przytem przekonanie. że daje wzór autobiografii. jakiej nikt przed nim pisać nie próbował: — choć może myli się Petrarka. boć właśnie Dante, nie on, pierwszy skreślił swą autobiografię duchową. ukazując nowe drogi poetom. Potem poszły „Komentarze“ Eneasza Silvio Piccolomini. który jako Papież przybrał imię Piusa II.; niepospolity „Pamiętnik“ Benvenuta Cellini, skłaniający się raczej do typu autobiografii zewnętrznego życia; wreszcie wspomnijmy niezwykle ciekawy utwór Girolamo Cardano z Medyolanu „De propria vita“, pisany około 1576 r., dzieło przyrodnika-obserwatora, który za przedmiot spostrzeżeń wziął samego siebie i z chłodnym spokojem bada przyczyny i warunki, wśród których rozwinęła się jego taka właśnie, a nie inna postać fizyczna, umysłowa i moralna [1]). Te oto i liczne tym podobne utwory sprawiły, że pierwiastek autobiograficzny wywalczył sobie pełne prawo obywatelstwa w literaturze najprzód włoskiej. a potem i w literaturach innych — żeby wymienić jeno imiona: Comines'a, Huttena, Bartlomieja Jastrowa. Jana Kesslera, — z francuskich: Agrippy d'Aubigné.

A w Polsce? Wiadomo, nie pozostaliśmy, ani nawet mogliśmy pozostać nieczuli w obec rozwoju potężnej, ogólno-europejskiej kultury nowożytnej. Autorowie nasi podjęli trud, przypadający na nich. i wywiązali się z zadania godziwie. Pierwsze blaski gdzieś daleko rozpalanych pochodni, pierwsze iskry padają zarzewiem w polską duszę już przez wiek XV., ale dopiero w następnem stuleciu polska literatura Odrodzenia miała zapłonąć jasnym, tryumfalnym ogniem. Żaden okrzyk. żadne hasło. które wstrząsały ser-

[1]) Burckhardt, op. c.. t. II., str. 49.

cem nowoczesnego człowieka, nie mogło pozostać nam obce, jeno — rzecz jasna — do zmienionych dostosowane warunków.

Dla historyi rozwoju indywidualizmu polskiego nie może pozostać obojętnem skromne zresztą pytanie: w jakim zakresie, w jakim stopniu i w jakiej postaci pojawia się w poezyi naszej XVI. wieku moment autobiograficzny, jako objaw budzącego się i rozwijającego subjektywizmu twórczego. Jeśli ograniczamy się tylko do poezyi, to dlatego, że literaturę prozaiczną polską w owym wieku wyczerpywały niemal całkowicie działy prozy historycznej, polityczno-patryotycznej, filozoficzno-parenetycznej lub religijnej, a w tych — jeśliby pierwiastek autobiograficzny mógł się pojawić — to chyba w bardzo skromnym, ubożuchnym zakresie i w postaci raczej dorywczej — ot, mimochodem [1]); — pamiętniki Paska pojawią się dopiero w stuleciu następnem.

Materyał rzeczowy, zawarty w autobiograficznych wynurzeniach naszych poetów, został już mniej lub więcej umiejętnie i dokładnie wyzyskany przez ich biografów; niekiedy z tak zadziwiającą skrzętnością, jak w biografii Jana z Wiślicy przez St. Witkowskiego, biografii, opartej jedynie na skąpej puściźnie poety [2]), a wysnutej w całości zręcznie i subtelnie z jeszcze skąpszych wskazówek autobiograficznych, kryjących się w owej puściźnie. To też nie ów materyał rzeczowy mniej lub więcej znany zwróci naszą główną uwagę, ale zawarty w danym momencie autobiograficznym wyraz świadomego siebie indywidualizmu, ale objaw występującej otwarcie, z czołem podniesionem osobowości twórczej [3]).

* * *

[1]) U Modrzewskiego n. p. spotykamy wzmiankę o pobycie na dworze cesarza Karola V. („O popr. Rzeczp.“, wyd. II., 1772. s. 62). Często bardzo pojawiają się napomknienia u Orzechowskiego n. p. o słynnej sprawie z Janem Dziaduskim, bisk. przem. („Dyalog“, wyd. Turowskiego, str. 45), o swoich dziełach, znajomościach i t. p.

[2]) Sam biograf stwierdza, że wie tyle tylko o życiu Jana, ile jest w jego dziełach. (St. Witkowski, „Przewodnik nauk. i literacki“ z 1891 r., str. 33). To samo rzecby należało o biografach Hussowskiego, Pawła z Krosna, Janickiego i t. d.

[3]) W uzupełnieniu tych wstępnych uwag dodajmy, że w koło naszych spostrzeżeń wciągniemy nietylko humanistów zdecydowanych, ale i takich poetów, którzy — jak Bielski, Rej — o humanizm się jeno otarli; oraz, że wyznaczamy za granice dla naszej pracy początek i koniec XVI. w., przyczem za roztrzygającą przyjmujemy nie datę druku, ale raczej powstania utworu; tak n. p. nie wyłączamy poezyj Szarzyńskiego, choć wydanych w r. 1601, wiadomo bowiem, że poeta ten zmarł w r. 1581, a więc utwory jego należą w każdym razie do w. XVI.

Pięciu poetów XVI. wieku zostawiło nam swe autobiografiie, ubrane w formę poezyi, i temi najpierw zająć się nam wypada, jako najważniejszemi zjawiskami w kręgu naszego zagadnienia. Poeci owi, to: Dantyszek i Janicki, Bielski, Kochanowski i Stryjkowski — tamci po łacinie, ci — w języku polskim swe życiorysy spisali. Pięciu ich tylko, a jakże odmiennych od siebie!

Zręczny, przebiegły dyplomata, nie raz jeden rozwiązujący zawiłe polityczne stosunki, a zarazem żądny wrażeń zmysłowych i w swych zasadach moralnych bezwzględny humanista, z wiekiem przeistaczający się w poważnego myśliciela, moralistę i surowego w obyczajach kapłana. Drugi — to prawdziwy poeta z Bożej łaski, nawskróś liryk, i liryk wyłącznie podmiotowy, cichy, smętnie zadumany, ze łzami w oczach — ale bez rozpaczy w duszy; wrażliwy, jak mimoza, wdzięczny za każdą drobinę okazanego mu serca — tak nam dziwnie blizki i zrozumiały w swej organizacyi duchowej, że niemal dzisiejszy. Trzeci — szlachcic miernej fortunki, miernych zdolności, gadatliwy i wygadany kronikarz, chętnie darzący naukami moralista, a pisarz wielce ze swej literatury dumny. Czwarty — to pan wielki, pan nieprzebranych zasobów słowa, świadomy swej władzy twórca i prawdziwy artysta natchniony. Piąty — chełpliwy rymołowca, podróżnik i żołnierz-przechwałka, dotknięty żądzą wielkości. Jakże się te tak odrębne indywidualności odbiły w poetyckich autobiografiach?

Najwcześniejszą w szeregu jest autobiografia Dantyszka. Właściwie jest ich dwie: jedna, zawarta ubocznie w wierszu do wychowanka, imieniem Knobelsdorfa: „Carmen paraeneticum, iuvenibus huius temporis non inutile ad ingenuum adolescentem, Constantem Aliopagum“ [1]), druga, której tytuł brzmi: „Vita J. de Curiis Dantisci“, przez długi czas po śmierci autora ukryta w rękopisie [2]); — obie pisane w późnym wieku, — „Życie“ podobno nawet niewiele przed samą śmiercią „Paulo ante obitum“. Obie więc pisane po tym przełomie duchowym, jaki zaszedł w duszy Dantyszka zapewne około r. 1530, przełomie, który sam tak wy-

[1]) Tak przetłumaczył Dantyszek nazwisko młodzieńca (wyd. Cracoviae 1539).

[2]) Wydana dopiero w r. 1593 w Gdańsku z autografu, znajdującego się w posiadaniu kanon. warm., a prawnuka Dantyszkowego, Jana Hanow z Schönau, przez Ernesta Schmieda (Estreicher, t. XV., str. 41).

mownie określił [1]), a który wybitne piętno na obu wycisnął utworach. Celem obu są nauki moralne, przestrogi praktyczne dla cnotliwego życia, skierowane imiennie w pierwszym utworze do Alliopaga, w drugim — nieokreślenie do wszystkich zachwianych, lub chwiejących się w cnocie. A i ton w obu utworach jednaki: ton człowieka żałującego za błędy swe, ale który przecież wzniósł się ponad nie, bo błędy owe uznał i potępił, a tak oczyszczony w przebytych próbach, uszlachetniony niejako w swej świadomości obecnej grzechu, zyskuje prawo do przestrzegania bliźnich, do prorockich, Ezachiaszowych gróźb i napomnień:

„At secus evenit, mernerunt crimina nostra,
. . . .
Pro quibus hic, o terra, tuo castigor in orbe,
Post cineres gravior ne mea poena foret.“ [2])

O szczerości i głębokości tonu Dantyszkowego, w którym nawołuje do cnotliwego życia i pokuty za grzechy, świadczy najwymowniej moment autobiograficzny, w obu wierszach występujący. Poeta w szczytnem zaparciu miłości własnej nie waha się swego życia potępić, na samym sobie wskazać jawnie, że przyczyna cierpień i niepowodzeń życiowych leży zawsze w popełnionych winach. Z jakim smutkiem, ozierając się na swe życie zbiegłe, mówi:

„...requies nec fuit ulla mihi.
Anxietas, aerummna, dolor me saepe rotarunt.
, ...
Canities longe ante diem mea tempora texit.“ [3])

Ale ten sam człowiek, który potępił swe życie hulaszcze i swawolne, czyniąc zeń przestrogę dla nieświadomego zasadzek życiowych młodzieńca, posłuchajmy, z jaką wspaniałą dumą mówi o czynach przez siebie dokonanych:

---

[1]) „Magno Deo totum dedidi, sacrisque dicari
Commutans vitae, quod fuit ante genus“. („Vita“ r. 75, 6).
a także:
„Decrevi tandem quae quadret, ducere vitam
Aetati et castus religiosa sequi.“
(„Ad Sigism. L. B. ab Herberstein, equitem auratum“ ed Vrat. 1764, str. 54.

[2]) „Vita“. r. 97—100.

[3]) Ibidem. r. 4—5. 9.

„Et quod non fuerim fortassis inutilis, ipsa
(Invidia hic absit) res bene gesta docet.“ [1])

Już w wyznaniach skruchy brzmi u Dantyszka pewien ton dumny: takim byłem, ale dziś już nie jestem, dziś spokój ducha i zadowolenie wewnętrzne są moim udziałem [2]): cóż dopiero rzec o tem imponującem stwierdzeniu własnych zasług: ile bezmiernej dumy w tych paru wtrąconych słowach: „invidia hic absit“ — dla zawiści tu niema miejsca, nawet zawistnik nie zdołałby umniejszyć mej zasługi. W tem samopoznaniu i samostwierdzeniu własnej wartości odbija się cały człowiek, jego bujna, wspaniała indywidualność.

Szczyci się Dantyszek i z lubością rozpisuje szeroko o tem poznaniu — objaw pogłaskanej czule ambicyi, — jakiem go darzą ludzie najwybitniejsi; wszak nie gardzą jego przyjaźnią królowie i książęta [3]), a także wielki tłum mężów uczonych. Koło jego znajomych i przyjaciół jest nader rozległe [4]), jak to z dumą zaznacza:

„Mam listy od przyjaciół. Kortez mi pisuje...“ [5])

W wierszu „Ad Alliopagum“ tkwi wiązanka rzeczowych szczegółów z życia Dantyszka. Skarży się poeta, że w bardzo młodym wieku — może około r. 1500 — oderwano go od umiłowanej nauki i studyów literackich, a umieszczono na dworze królewskim [6]). W parę lat potem — jak się to stało, niewiadomo — udaje się w podróż do Włoch; wspomina, że zwiedził Wenecyę, a tu znalazłszy okręt, odpływający do Ziemi Świętej, został tak silną chęcią opanowany zobaczenia miejsc historycznych, że nie mógł się

---

[1]) „Vita“, r. 71—2.

[2]) „...pacis commoditate frui“. („Vita“, r. 84.

[3]) „Non me fastidire solent Regesque Ducesque
Doctorum pariter magna caterva virum“. (Ibid., r. 91—2).

[4]) „Hinc et amicitias nactus socios et amicos
Qui me tot scriptis visere saepe solent,
Inter quos procul est Alagnus Cortesius, ille
. . . .
. . . estque mei tam procul ille memor“. (Vita“, r. 85-7, 90).

[5]) Tł. Siemieński: „Portrety liter.“. (Dzieła. Warszawa 1881 t. III., str. 9).

[6]) „In teneris annis tumidam sum raptus ad aulam
Scilicet ex doctis, quod modo plango, scholis...“
(„Ad Alliopagum“, str. 91).

oprzeć i popłynął do Palestyny. Działo się to — jak z określenia przez poetę wieku swego wynika [1]) — około r. 1505. Spotkały go w podróży wstrząsające przygody: przeżywał burzę morską: w drodze zwiedzał Korfu, Pelopenez, Kretę i Cypr — wreszcie przybył do Jerozolimy, ale niemiłe ztamtąd wyniósł wspomnienia, bo go podobno mieszkańcy czynnie znieważyli. Dalej już tylko ogólnie mówi o swych poselstwach dyplomatycznych:

„Trzykroć w obie Hesperye nosiłem rozkazy
W troistej Galli byłem też samo trzy razy,
Widziałem kraj Brytanów...“ [2])

Wspomina o swem życiu dworskiem, hulaszczem, a ztąd już potrzebne wyprowadza wnioski dla zbudowania i pouczenia niedoświadczonego młodzieńca, któremu gwoli pisze — niedarmo wszak wiersz swój jako „carmen paraeneticum“ określa.

W „Życiu“ szczegółów rzeczowych znacznie więcej: stanowią óne z wierszem poprzednim jakgdyby jedną całość, autobiograficzne dane bowiem nie powtarzają się — naogół przynajmniej. Mówi tu drobiazgowiej Dantyszek o swych dyplomatycznych zadaniach; wspomina o czynnym udziale w kongresie wiedeńskim 1515 r. [3]), o swem trzykrotnem poselstwie do Rzptej Weneckiej [4]) i wielce skomplikowanej parokrotnej misyi w Hiszpanii, gdzie szło o legendarny spadek neapolitański po Joanie Aragońskiej; bywał w Danii, Francyi, Belgii, Niemczech, — zawadzał o Anglię [5]); z cesarzem Karolem V. był na słynnym zjeździe bonońskim roku 1529 [6]). Wreszcie znużyło go to gorączkowe, wyczerpujące życie, napełniły przesytem rozwiązłe stosunki miłosne — zapragnął spo-

---

[1]) „Tum mihi bis deni fuerant, non amplius, anni...“
(„Ad Alliopagum“, str. 93).

[2]) Siemieński, op. c., str. 91).

[3]) „Pannonis ora duplex mihi visa; suique Viennae
Conventus Regum quum gravis ille foret...“ („Vita“ r. 23-4).

[4]) „Nuncius in castris fueram ter missus ad illos. (Venetos-scil.).
Et certa pacem conditione dedi...“ (Ib., r. 27-8).

[5]) „Sic per bis senos Orator Regius annos
missas in Hispana ter regione fui.
Vidimus et Daniam, Gallos, Regemque Britannum
Et tot Germanos Italiaeque duces...“
(Ib., r. 51-4; por.: „Ad Alliop.“, str. 95).

[6]) „Hoc tum Felsinea (scil. Bononia) quo tempore Carolus orbis
Imperium cepit Quintus in urbe fui.“ („Vita“, r. 43-4).

czynku, wrócił do kraju, i obrany biskupem chełmińskim [1]), rozpoczął nową, poważną, religijną epokę swego życia. I znowu, jak w wierszu do Alliopaga, przechodzi Dantyszek w ton parenetyczny, powtarza powszechnie znane zakazy i nakazy moralne [2]), wielbi świętość i wielkość Boga, gromi złość świata — a wreszcie, jakgdyby w przeczuciu blizkiej śmierci, nakazuje taki na grobie swoim położyć napis, pełen fiozoficznego spokoju i chrześciańskiej ufności:

„Hoc tibi, terra, vale dico non triste, vocatus
ad vitam, cuius tempora fine carent."

W obu swych autobiografiach Dantyszek jednakie ukazuje nam oblicze: tak wygląda człowiek dumny, ambitny, syt chwały i uznania, — rad z siebie, nawet gdy potępia grzechy własnej swej młodości, świadom swych zasług i znaczenia — słowem: pełen silnego samopoczucia swej odrębności i wartości indywidualnej.

Zupełnie inne jest oblicze Janickiego.

Janicki napisał jedną tylko autobiografię — elegię VII. ks. Żalów, ale ani jednej nie napisał elegii, w którejby nie mówił o sobie [3]). Bo też on sam był dla siebie całym światem. Nie łatwo doprawdy o człowieka tak bardzo, jak on, podmiotowego, który jeśli kocha świat i ludzi — a kocha niewątpliwie, — to tylko dlatego, że słońce go ogrzewa, kwiaty dlań pachną, a ludzie darzą uśmiechem i życzliwością. Ale myliłby się bardzo, ktoby chciał nazwać Janickiego brudnym, a tem bardziej wstrętnym egoistą. Janicki kocha siebie, a przez siebie cały świat i ludzi z tak szczerą, dobroduszną, niemal dziecięcą naiwnością, że stanowczo nas rozbraja. Jakże się gniewać na tego wątłego, słabego młodzieńca, że wciąż swe imię ma na ustach i w myśli, skoro dlań osią, koło której cały świat się obraca, jest jego własna

[1]) „Inscius, atque absens, post factus Episcopus, aulam
Deserui rediens, spesque quietis erat..." („Vita", r. 73-4).

[2]) n. p.: „fac bene, dum vivis..." (Ib., r. 123).
„...cuique suum reddas..." (Ib., r. 124).
„Quodque tibi fieri vis, hoc fac omnibus; esto
Clemens in miseros..." (Ib., r. 125-6).
„...invideas nulli..." (Ib., r. 127).

[3]) Dlatego też słusznie twierdzi Ćwikliński, że najlepszem źródłem do życia poety są jego utwory. (Patrz: Kl. Jan. — Poeta uwieńczony". Rozpr. fil. Ak. S. U., t. II., 1893 r., str. 285).

osoba Nie, doprawdy, szczery, naiwny egoizm Janickiego ma nazbyt wiele w sobie podniosłego wdzięku istoty wątłej, bezbronnej, a w swej słabości bezwzględnej, abyśmy go potępić mogli.

Elegia „De se ipso ad posteritatem" powstała najprawdopodobniej w początkach 1541 r., kiedy poeta, opuściwszy Włochy, których klimat mu nie służył, zaraz po powrocie do Krakowa rozchorował się groźnie: oczekiwał nawet śmierci, ale go uzdrowił swą sztuką Jan Antonin, tylekroć potem przezeń z wdzięcznością wspominany. I wtedy, wracając do sił, a wciąż jeszcze o wyzdrowieniu swem wątpiąc, napisał poetycki testament, ową śliczną, przez szczerość uczuć wprost niepospolitą elegię, swą autobiografię dla potomności [1]).

Wymienia poeta miejsce i rok swego urodzenia [2]) i z piękną szczerością nie kryje przed nami swego nizkiego rodu:

„...tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,
Orał poczciwie grunt pradziadowski." [3])

Ojciec dla wątłości chłopca postanowił oddać go szkół [4]); chodził też Janicki do jednej z najlepszych szkół w ówczesnej Polsce, do szkoły Lubrańskiego w Poznaniu [5]), chciwie chłonąc nauki, a zwłacza słowa mistrzów starożytnych: Vergila i Nasona. Tu pierwsze zbierał laury poetyckie, gdy na uroczystem zebraniu szkolnem od-

---

[1]) Wzorem literackim mogła być dlań Owidyszowa „Trist." IV., 10.

[2]) Wieś Januszów, niedaleko Żnina:
„Alta iacent supra suenanas rura paludes
Janusei nomen nescio cuius habent." („Trist.", VII., r. 5-6).
dzień urodzenia: 17 listopada 1516 r.:
„Lux mihi natalis post Idus quarta Novembris
. . . .
Annua quo posuit lugubria tempore noster
Rex . . ." („Trist.", VII., r. 15-18)
por. też: „Var. El.", XI., r. 5.

[3]) Tł. Syrokomla: „Tłumaczenia poetów polsko-łac.". (Dzieła. Warszawa 1872, t. VIII., str. 29 i n.):
„Haec meus assueto genitor vertabat aratro".
(„Trist.", VII., 9).
por.: pisząc nagrobek dla ojca: hic tegor, agricola obscurus..."
(Ib., X., r. 59).

[4]) „...nempe pater...
Vivere me durum noluit inter opus." (Ib., VII., r. 23-4).

[5]) „Gymnasium petii, nuper Lubrancas amoeni..." (Ib., r. 29).

czytał wiersz pochwalny na cześć fundatora zakładu[1]). Zdolnościami młodzieniec musiał zasłynąć, bo niebawem znajduje mecenasa w osobie poety, arcybiskupa gnieźnieńskiego, Krzyckiego[2]). Cóż kiedy Krzycki niespełna w rok umarł i źleby z naszym młodzieńcem było, gdyby nie opieka Piotra Kmity, woj. kr.[3]), który spełnia najgoretsze jego życzenia, śląc do serca ówczesnego świata, do Włoszech[4]). Tu wszakże wytężająca praca podkopuje i bez tego słabe zdrowie młodzieńca; Janicki przebywa ciężką chorobę i niebawem wraca do kraju[5]), gdzie — jak przeczuwa — wkrótce przyjdzie mu umrzeć.

Tak przebiegłszy pokrótce koleje swego niedługiego życia, czyni Janicki jakgdyby obrachunek ze sobą, pisze o swych upodobaniach, zwyczajach, cechach charakteru, o swem usposobieniu — i to jest najznamienniejszy ustęp jego elegii, bo jest to samocharakterystyka wewnętrznej istoty, świadcząca o lubem zagłębianiu się poety w samego siebie, o kulcie dla swej osobowości. Niby to Janicki surowy jest dla siebie i sędzia bezstronny:

„Skory do gniewu, żywy w zapale,
Nieraz dni kilka w złościm się zaciął...“

Ale zaraz pospiesza niemiłe wrażenie zmazać usprawiedliwieniem:

„Wielum otwartych miał nieprzyjaciół,
Co mi szkodzili zapamiętale...“

---

1) „Carmina cum pleno recitavi prima theatro
Addideram mense ad tria lustra novem.
. . . .
Et placui vulgo...“ („Trist“, r. 49 i n.).

2) Praesul erat Critius, phoebo vir amicus...“ (Ib., VII., r. 67) o stosunkach z Krzyckim świadczą nadto: Lib. eleg. I.: „Ad Andr Critium...“ z r. 1536; Var. El. III.: „Autumnum execratur, ob febrem Critii“ z paźdz. 1536 r., i Var. El. II.: „Natalem Critii caelebat...“ z grudnia tegoż roku oraz epigr. 27.

3) „Funera post Critii, numero me Cmita suorum
Addidit et amissa danna rependit heri.“ („Trist.“, VII., r. 73) por. też: Epigr. 33: „C. Janitius A Cromero“.

4) „Meque iubet (sc. Cmita) cupidum, non parcens sumptibus [ultis
In Latium posita protinus ire mora“. (Ib., r. 75-6).

5) Invidit fortuna mihi, morboque gravarum
Compulit ad patrios me remeare focos...“ (Ib., r. 79 80).

6) Syrokomla, op. c., str. 33.

Bo też Janicki bardzo, bardzo jest dla siebie wyrozumiały i przychylny; jakże go roztkliwia słabe, podkopane chorobą zdrowie [1], jak się lituje nad swem nieuleczalnem cierpieniem [2], za tem większą zasługę poczytując sobie bynajmniej nie zgorzkniałe, miłe dla otaczających usposobienie; z jaką wyrozumiałością — jakże inaczej — przebacza sobie, że:

„W życiu narowy miałem niewieście.
Lubiłem stroje, miękkość, wygody...“ [3])

A za to jak wysoko podnosi wrodzoną, niestety, z konieczności poprzestającą na chęciach tylko cnotę hojności:

„Gdyby mi w taszce lepiej świtało,
Słynąłbym — myślę — wielką szczodrotą.
Jam zawsze cześcią prawdziwą pałał
Na słowa Tyta, pamiętne wiecznie...“

A jak ceni w sobie tkliwość — Karpiński powiedziałby: czułość przyrodzoną serca; niewątpliwie oczy obcierał, roztkliwiony własną dobrocią, gdy pisał te słowa:

„Mięknę, gdy we łzach obaczę oczy,
Me sarnie serce lęka się, trwoży,
I klałem wojny, gdy bój się toczy,
Bom nosił w sercu wszystek lud Boży...“ [4])

Toż to rodzony — choć o parę wieków starszy — brat czułego śpiewaka Justyny! [5])

---

[1]) Invalidum mihi corpus erat, viresque pusillae“ („Trist“, VII., r. 93 i n.); por. też: „Trist“, II., r. 15 i n., gdzie pisze, że jak szkielet wygląda:

„Cui quod adhuc licet ista queri linguaeque potestas
Integra quod superest, debet id omne tibi (sc. St. Virgini)
Debet et exiguum hoc animae, quod pelle sub ista,
Hac inter venas, inter et ossa, latet.

[2]) „Adde, quod esse meo generi fatale videtur
Sic cadere; interiit sic pater ante mihi“. („Trist.“, VII., r. 175).
Mówi tu o puchlinie wodnej, na którą ojciec umarł.

[3]) „Munditiem, cura muliebri, prorsus amavi...“ (Ib., r. 115 i n.).

[4]) „Cor subitum ad lacrimas, miseri molle, gerebam“. (Ib., r. 111).

[5]) Por. Karpińskiego rozprawkę: „O wymowie w prozie albo w wierszu“. Ta struna, zgodnie brzmiąca w sercach obu, znalazła wdzięczne echo w piersi pokrewnego im duchem Brodzińskiego — ztąd jego uznanie dla tamtych.

W jednym tylko szczególe rozmija się Janicki z prawdą: gdy mówi, że nieraz kochał z młodzieńczą potęgą uczucia [1]). On nie mógł kochać namiętnie, z oddaniem, bo jedyna wielka miłość, której zaznał: miłość siebie, nazbyt wiele miejsca zabrała w jego sercu. Miłość ta przebija nawet w obrazie zewnętrznego wyglądu, gdy poeta kreśli go z upodobaniem i widoczną chęcią wzbudzenia miłych w czytającym wrażeń:

„.. oblicze weselem kwitnie.
Płonę rumieńcem, jako niewiast.
Słowa mi idą łacno, dobitnie,
A postać słusznej miary dorasta. [2])

Końcowy ustęp poświęca Janicki lekarzowi swemu, owemu Antoninowi, który go ze śmiertelnej choroby ratował [3]). I to także moment wiele mówiący: poeta rozpływa się w szczerej, serdecznej wdzięczności (por. Dodatek I.), wielbi sztukę i mądrość lekarza, obiecuje imię jego wsławić w zagrobowej krainie, ale główne jądro owych wynurzeń spoczywa w tej niezrównanej przysłudze, którą lekarz oddał poecie. Przez wyświadczone dobrodziejstwo stał się Antoninus jakby cząstką duszy poety i siebie to śpiewa Janicki, swą wielką radość śpiewa przedłużonego życia i swój tryumf wielbi, wielbiąc mądrość Antonina [4]).

Janicki, jedyny z pomiędzy poetów XVI. w., wystawił obok życiorysu zdarzeń zewętrznych także autobiografię wewnętrznego życia [5]). I nie trzeba mu nawet było wzorów literackich, Owidyuszowych, czy innych, ani nawet na zewnątrz sięgającej chęci unieśmiertelnienia siebie wśród potomnych. Mówić o sobie było taką wewnętrzną koniecznością poety, taką najwyższą rozkoszą i radością — że nie mówić nie mógł. I ztąd płynie ta pozbawiona cech

---

[1]) „In Venerem effusum male me plerique meorum...“
(„Trist“, VII., r. 121).

[2]) „Linguae usus facilis, vox clara, coloris imago
Candida...“ (Ib., r. 97 i n.).

[3]) poczynając od słów:
„O, Antonine, vale, vale Antonine, tuumque...“ („Trist“, VII., r. 193) — do końca.

[4]) por. też: „Jam meus ad primam tandem, Antonine, salutem est Phoebus, Phoebi redditus arte tui.“ (Epigr. 13).

[5]) Naturalnie pod uwagę wziąć wypada całą jego twórczość — o szczegółach, gdzieindziej zawartych, będzie mowa dalej.

jakiejkolwiek celowości praktycznej [1]), czy literackiej [2]), szczere wynurzanie się w poezyi. Egoistycznej, ale dziecięco-naiwnej miłości siebie nie maci żaden ton obcy, utylitarny — i ztąd niezrównany wdzięk elegii Janickiego. Autobiografia poety jest świadectwem jego silnie rozwiniętej indywidualności, rozkochanej i zaślepionej w sobie, ale nieświadomej ani swego rozwoju, ani rozmiłowania, bo tak szczerej i naturalnie egoistycznej — zupełnie, jak u dziecka.

---

[1]) Jak wiadomo, ochłodzenie, a potem zerwanie jego stosunków z Kmitą, wywołało to właśnie, że poeta nie umiał, czy nie chciał obsypywać mecenasa swego szumnymi panegirykami; por. też: Epigr. 59: „Ad Petrum Cmitam", gdzie tłumaczy się, dlaczego nie był między spotykającymi wojewodę dworzanami. — i Epigr. 63: „Cmite venis aliis, mihi non...", gdzie oczyszcza się z jakichś nieokreślonych przewinień względem mecenasa.

[2]) O czem świadczy, że autobiografię swą kończy zwrotem do Antonina, również z serca płynącym — zapewne, — jak i całość, ale z literackiego punktu widzenia do całości nie pasującym.

Dr. J. Grzymała Grabowiecki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czynnik gospodarczy w dawnem prawie wiejskiem.

Życie poddanych w ostatnich wiekach niepodległego bytu Rzeczypospolitej upływało zdala od wirów i walk, które tak często zamącały państwem, zdala od życia politycznego, na które najmniejszego nie mieli wpływu, zamknięci w ciasnem kole rodzinnych wsi, których nie mogli opuszczać. Rzadko tylko mogą po za nie wyglądnąć i rozejrzeć się po szerszym świecie, aby chociaż w ten sposób uzyskać pewien zapas doświadczenia praktycznego, zastępującego u nich wykształcenie teoretyczne, którego im nie stało. Sposobność zaś po temu nie wszyscy mieli i nie zawsze. Nie wielu bowiem było takich, którzy znaleźli pomieszczenie na dworze pańskim, w charakterze niższej służby i w jego otoczeniu zwiedzili nietylko inne włości, należące do ich pana, ale także miasta powiatowe i wojewódzkie, do których dwór interesa zapędziły. Nieraz było im danem oglądać stolicę państwa w otoczeniu pana, który zjeżdżał tam albo na elekcyę dla oddania swego głosu, lub na sejm w charakterze posła od braci szlachty. Już częściej zdarzała się poddanym sposobność wzięcia udziału w jarmarku, odbywającym się w poblizkiej miejscowości, lub w wędrówce do miejsc, słynących cudami. Rzutniejsi z nich, nie mogąc sobie w ramach

---

Uwaga. Studyum niniejsze oparte jest w głównej mierze na księgach sądowych wiejskich i charakteryzuje stosunki, mało co wykraczające po za ramy dawnego województwa krakowskiego.

pewnych przepisów umożliwić pewnej swobody dla zobaczenia szerszego świata, używali do tego innych sposobów. Nie mogąc wytrzymać na zagonie ojcowskim, bo ich potrzeba wolności i swobody rozpierała, opuszczali tajemnie strzechę rodzinną, aby w innych stronach szukać lepszej doli. Nieraz nie znaleźli jej, a wtedy nauczeni doświadczeniem, a przytem gnani tęsknotą za wioską rodzinną, po latach powracali do niej, aby odbudować na nowo ognisko domowe z tej iskierki tęsknoty, która im towarzyszyła podczas smutnych lat wygnania. Powracało zaś wielu, skoro do majętności suskiej w jednym tylko roku 1721 przybyło z Węgier 30 zbiegłych, aby na nowo zacząć pracę, już jednak nie na niwie, odziedziczonej po ojcach i dziadach, bo ta przez kogo innego była zajęta, ale na obcej, nadanej przez pana[1]). Ci powracający, to jeszcze lepsza część społeczeństwa chłopskiego. Iluż to jednak było takich, których z domu ojcowskiego wyganiała niechęć do pracy nietylko pańskiej, ale i swojej, którzy raz opuściwszy wioskę rodzinną, już nigdy do niej nie zaglądnęli, — jeżeli zaś zaglądnęli, to na pewno przymuszeni, sprowadzeni w kajdanach i wrzuceni do więzienia pańskiego, których ztamtąd dopiero rękojemstwem trzeba było wydobywać. Byli jeszcze i inni, udający przy świetle dziennem wobec pana i jego urzędników potulnych baranków, spełniający pozornie swe powinności względem dworu i gromady, a tymczasem pod osłoną nocy zapuszczający swe zagony rabunkowe daleko w obce okolice, łupiąc szlachtę, żydów, księży, a nierzadko i bogatszych chłopów. To tak osławieni na całem podgórzu karpackiem zbójcy, rekrutujący się nietylko z warstw chłopskich bezrolnych, ale także z synów kmiecych, to ludzie, lubiący — jak wyrażają się akta — „lekką robotę“, bawiący się „drabstwem“.

Takimi to prawnymi i nieprawnymi sposobami uzyskiwali włościanie znajomość dalszych okolic, uzyskiwali tę odrobinę wykształcenia, która im się przydała nieraz, gdy u schyłku swych dni stanęli na czele gromady, czy to jako wójtowie, czy też przysiężnicy i dziesiętnicy. W samej wsi bowiem o to wykształcenie było trudno. Wprawdzie tu i ówdzie organista wiejski wpajał w młode umysły znajomość czytania i pisania, przy umiejętności pierwszych początków śpiewu kościelnego, była to jednak nauka dorywcza, najczęściej zimowa, skoro latem chłopiec tak bardzo potrzebnym był w gospodarstwie ojcowskiem. A i ta odrobina, zdobyta z takim trudem, rychło ulatywała z pamięci, skoro nie

[1]) Rkp. hr. Branickich z Suchej, XVIII., str. 269.

zapewniono poddanemu możliwości dalszego ćwiczenia umysłu, skoro nie podano mu książki, na której od czasu do czasu mógłby utwierdzić swe wiadomości. Jakże bowiem charakterystyczny jest fakt, iż na szereg testamentów nam znanych, na pokaźną ilość wzmianek, mówiących o majątku ruchomym poddanego, nigdzie nie znajdujemy wymienionej książki, ani kalendarzy, tak bardzo dzisiaj w warstwie włościańskiej rozpowszechnionych. Dobrze więc, że chociaż w wędrówkach chłop polski znajdywał znajomość szerszego świata, że chociaż smutne doświadczenie wpajało w niego znajomość życia, skoro wieś rodzinna nic w tym względzie zrobić dla niego nie mogła.

Nie mogła zaś zrobić, ponieważ prawnie stanowiła zamkniętą całość, zasklepioną w ciasnem kole pojęć wioskowych, ponieważ wedle ówczesnych pojęć prawnych świat dla warstwy poddańczej niewiele wybiegał po za kopce graniczne wsi, a już szczęśliwie stosunki się układały, gdy obejmował szereg miejscowości, należących do jednej włości. Każda wioska, choćby najmniejsza, to miniaturowe państwo, w którem pan spełnia pełnię władzy, jaka dzisiaj należy do organizmu państwowego, w którem wola państwa jest ostatnią instancyą poddanego. Dlatego to przy każdym obrazie stosunków włościańskich nie należy o tej okoliczności zapominać i pod tym kątem widzenia mało-państwowym na nie patrzeć i je określać, unikając tym sposobem całego szeregu nieporozumień. Trudno bowiem scharakteryzować położenie poddanych ze stanowiska ogólno-państwowego, skoro ono w ostatnich wiekach swego bytu niem się nie zajmowało, pozostawiając w zupełności wolną rękę panom w tym względzie. Konstytucye państwowe, o ile się zajmują poddanymi, to zajmują się nimi jedynie w interesie panów, aby ich uchronić przed ucieczką włościan, lub co najmniej skrócić bieg postępowania prawnego, skierowanego celem odzyskania zbiegłych chłopów [1]. Już częściej zajmuje się położeniem włościan szlachta w swych laudach sejmikowych, ale również nie w innym celu, jak konstytucye państwowe [2]).

Dotąd była mowa o wsiach dziedzicznych, nie inne zaś położenie było i we wsiach królewskich, chociaż pozornie położenie poddanych w tych włościach przedstawiało się znacznie lepiej. Nic

[1]) Vol. Legum., t. II., str. 176, 187, 188, 189 i inne.

[2]) Kluczycki: „Lauda sejmików ziemi dobrzyńskiej“, str. 26, 239, 262, 274, 277 i inne, — a i w aktach grodzkich krakowskich napotykamy w laudach na szereg wzmianek.

też dziwnego, że badacze, uwiedzeni pozorami, przedstawiali stosunki w królewszczyznach w różowszych barwach. Badacz nawet tej miary, co Bandtkie-Stężyński, uważał poddanych królewskich za wolnych ludzi [1]), późniejsi zaś już nie zwracali na ten moment prawny uwagi, lecz więcej zajmowali się stosunkami ekonomicznymi. Te zaś według nich przedstawiały się o wiele lepiej, aniżeli w majętnościach dziedzicznych, ponieważ poddanym królewskim nie można było powiększyć dowolnie powinności [2]), ponieważ w razie uciążeń i krzywd, doznawanych ze strony dzierżawców, mieli oni prawo skargi w sądach królewskich. Wprawdzie już Baranowski zwraca uwagę [3]), że te sądy złożone są ze szlachty, która ma w swem posiadaniu włości królewskie i dlatego stronniczo załatwia sprawy, że komisye, wysyłane z sądów referendarskich na grunt sporny, są przekupne i łatwo biorą stronę starostów, mimo tego jednak właściwych wniosków z tego stanu rzeczy nie wyciągnął. Zapewne, że jeszcze dzisiaj przedwcześnie rozstrzygać tę tak ważną sprawę, rozwiązać ją bowiem będzie można dopiero wtedy, gdy jak największa ilość ukaże się opracowań monograficznych wsi polskiej, tak wsi dziedzicznej, jak i królewskiej, gdy ułoży się budżet roczny poddanego dziedzicznego i królewskiego, ale w każdym razie pozwolimy sobie zwrócić na parę charakterystycznych uwag, które nam się nasunęły przy badaniu ksiąg sądowych wiejskich. Otóż tu stwierdzić można, że w całym szeregu instytucyj prawnych nie ma co najmniej żadnych różnic między wsią dziedziczną a królewską, że prawo poddanego do gruntu jest zupełnie identyczne w obu typach wsi, że stanowisko pana i starosty praktycznie nosi to samo piętno. I nie mogło być inaczej, skoro ta sama osoba była w jednej włości panem dziedzicznym, a w drugiej czasowym dzierżawcą, skoro pan dziedziczny mimowolnie nawet musiał przenosić stosunki swej własnej wsi na terytoryum królewszczyzny, stosując tę samą politykę w jednej i drugiej. Co więcej, ma się wrażenie, że charakter jego postępowania w królewszczyźnie nosi na sobie jakieś okrutniejsze i bezwzględniejsze piętno, niż w własnej dziedzicznej włości, że tu i ówdzie wyciąga

---

[1]) W swojem „Prawie prywatnem polskiem", str. 33.

[2]) Bocheński: „Beitrag zur Geschichte der gutsherrlich-bäuerlicher Verhältnisse in Polen", str. 14. — Guradze zaś uważa, że poddani dóbr królewskich zajmują stanowisko pośrednie między wolnemi a niewolnemi („Bauer in Posen", str. 5).

[3]) Podnosi on to w całym szeregu swych rozpraw, zwłaszcza zaś w Sądach referendarskich („Kwart. hist.", t. IX.).

od poddanych królewskich takie powinności, jakich nie wymaga nawet od własnych. Zapewne, że to bezwzględniejsze postępowanie w wielkiej mierze należy przypisać oporowi poddanych, którzy opierając się na dawnych dokumentach lokacyjnych i inwentarzach nietylko nie chcieli się ugiąć, ale spieszyli do stóp królewskich, aby tam znaleźć sprawiedliwość. W każdym jednak razie fakta takie świadczą co najmniej o tem, że stan prawny nie zgadzał się z faktycznym, że starostowie i dzierżawcy królewszczyzn niewiele się liczą ze stanowiskiem panującego, jako pana patrymonialnego. Ponadto za postępowaniem bezwzględnem przemawiał inny wzgląd po stronie pana. Nie należy bowiem zapominać, że cała ta falanga starostów i dzierżawców królewszczyzn, to przeważnie dożywotni posiadacze, że myśl przewodnia ich rządów ogniskuje się w wyzyskaniu jak największem włości, dla uzyskania możliwie największych dochodów. Wprawdzie tę samą myśl mają i we własnych majątkach, ale tutaj przed bezwzględnem postępowaniem ochrania poddanych interes pański, zmierzający do utrzymania majątku w dobrym stanie, ponieważ nie dla jednego pokolenia ma on tylko służyć. We włości królewskiej nie działa już ten moment, skoro przeważnie posiadacz ma ją tylko dożywotnio, a najlepszy nawet zkądinąd obywatel nie jest usposobiony tak altruistycznie, ażeby pracował dla kogo innego sobie nieznanego. Hasłem też tych dzierżawców jest zasada — największy dochód, bez wkładów — i dlatego to z całą słusznością możemy do dóbr królewskich zastosować twierdzenie Łozińskiego, że puścić dobra w zastaw lub dzierżawę — znaczyło to najczęściej wydać je na spustoszenie, chłopów na pastwę chciwości [1]). Podobnie nie zdziwi nas opinia hr. Pergena, wypowiedziana w memoryale o stosunkach galicyjskich, że ucisk poddanych jest większy w dobrach królewskich, niż dziedzicznych [2]).

Wypowiadając te uwagi, nie mieliśmy na względzie wszechstronnego rozpatrzenia kwestyi, lecz szło nam o uprawdopodobnienie, czy przy charakterystyce stosunków wiejskich możliwem jest równomierne traktowanie poddanych dziedzicznych i królewskich, czy stosunki we wsiach królewskich są najmniej podobne do takichże stosunków we wsiach dziedzicznych. Odpowiedź też wypadła twierdząco. Wieś bowiem królewska, to także całość dla siebie

---

[1]) Wład. Łoziński: „Prawem i lewem", t. I., str. 140.

[2]) Finkel: „Memoryał Antoniego hr. Pergena" („Kwart. hist." za r. 1900, str. 40.

zamknięta, żyjąca co najwyżej z innemi wsiami, które należą do tego samego starostwa, w czem jest zupełnie podobną do pańskiej, utrzymującej łączność z innemi, które należą do jednego klucza gospodarczego, a będącemi w posiadaniu tego samego pana. Stosunki te zaś w obu wypadkach są dwojakiego typu — sądowo-administracyjne i gospodarcze. Jak bowiem dla starostwa nowotarskiego, czy czorsztyńskiego mamy centralny sąd w stolicach tych dzierżaw, a i funkcye administracyjne zbiegają się w rękach starostów, tak i we włości suskiej mamy dla całego szeregu wsi, jako wyższą instancyę — sąd wójtowski państwa suskiego, a administrator, rezydujący w Suchej, ma nadzór nad całą włością, doglądając tak ekonomów, jak wójtów i przysiężnych, którzy w pewnej mierze mieli sobie powierzone funkcye administracyjne. Co do gospodarczej łączności, to ona rozumiała się sama przez się. W centralnej bowiem miejscowości klucza czy starostwa zbiegały się nici zarządu ekonomicznego. Tu dwornicy i gospodarze zdawali rachunki, tu poddani w przeważnej mierze mogli zakupić to, co im — po za produktami własnego gospodarstwa — do życia było potrzebne.

Jak doszło do tego zamknięcia się poddanych w ciasnem terytoryum, nie pozwalającem na szerszą i wydatniejszą ekspanzyę sił i energii? Decydującym momentem, który doprowadził do zasklepienia się wsi polskiej, do zamknięcia się przed zewnętrznymi wpływami prawnymi, był właśnie gospodarczy rozwój Rzptej. Z chwilą bowiem, gdy otwarła się wielka droga wodna na północ, która w łatwy sposób przewoziła wytwory gospodarki rolnej do Gdańska[1]), z chwilą, gdy zachód, coraz więcej się uprzemysławiający zapotrzebował zboża polskiego, szlachcic-rycerz przemienia się w szlachcica-rolnika, któremu już nie wystarczą oddawane przez poddanych czynsze, który wszelkiemi siłami będzie dążył do stworzenia możliwie największej gospodarki folwarcznej, ażeby jak najwięcej złotodajnego zboża wyprodukować. Wynik to był zrozumiały i w tych warunkach całkiem naturalny, wywołał on jednak wielką zmianę w stosunkach prawnych wsi polskiej, która dotąd cieszyła się daleko idącą autonomią, a którą teraz pod wpływem nowych warunków miała w znacznej mierze, lub nawet zupełnie utracić. Dotąd stosunek między panem a osadnikami był dosyć luźny, skoro w razie skrupulatnego spełnienia swych powinności,

[1]) Kwestyi tej nie rozprowadzamy dokładniej, ponieważ już ją dostatecznie wyjaśniono w rozprawach naszych prawników i ekonomistów.

osadnik miał z panem do czynienia najczęściej tylko w sprawach sądowych, o ile jakaś kwestya sporna dostała się w apelacyi przed trybunał pański, wszelkie zaś wewnętrzne sprawy załatwiał sołtys z ławą. Ten stosunek zmienił się razem ze zmianą gospodarki czynszowej na folwarczną. Dla obrobienia bowiem powiększonego znakomicie folwarku nie wystarczała już mała robocizna, do której tu i ówdzie osadnicy na podstawie dokumentów lokacyjnych byli obowiązani, zachodziła konieczność jej powiększenia. Początkowo bezsprzecznie nie potrzeba było uciekać się do radykalnych środków, nie potrzeba było krępować więzami prawnymi osady, bo na podstawie ugody pan z łatwością mógł uzyskać powiększenie robocizny [1]), o ile tylko i on ze swej strony okazał ustępstwa w kwestyach, stanowiących bolączkę włościan n. p. w sprawie pobierania drzewa z lasu, prawa wypasania bydła lub w sprawie jakiejś powinności, która może zbytnio osadnikom dawała się we znaki, a dworowi nie wielki przynosiła pożytek. Na dłuższą jednak metę postępowanie takie nie wystarczało zaś tem więcej, że dążenie do powiększenia robocizny rosło nieproporcyonalnie do ustępstw, które mógł poczynić pan osadnikom. Dlatego to w imię polityki gospodarczej chwycono się innego środka — skrępowano więzami prawnymi jak najbardziej kmiecia, odebrano mu sądownictwo autonomiczne, wykonywane przez sołtysa i ławę przysięgłą, zabroniono opuszczać grunt bez pozwolenia pana, obierać zawód według swej woli, żenić się z poddanką obcej włości [2]), a przedewszystkiem odcięto mu prawo skargi na pana w sądach królewskich. Odebranie własnego sądownictwa było bezsprzecznie najsilniejszym ciosem dla kmiecia polskiego, ponieważ w ślad za niem szła samowola pana, samowola tem większa, iż włościanin nigdzie nie znajdywał pomocy prawnej, skarżąc się na ucisk. Ażeby mieć swobodną drogę, usunięto sołtysów we wsiach, przyczem funkcye ich sądowe i administracyjne przejął pan, występujący teraz w charakterze zwierzchności dworskiej. Przeceniało się u nas znaczenie sołtysów w ustroju podpańszczyźnianej wsi, stwierdzając, że stanowiskiem swojem popierali interesa osadników, że stawali w ich obronie. Na prawdę

---

[1]) Kutrzeba: „Materyały do dziejów robocizny w Polsce“, str. 146—147. „A iż poddani ci dawali to znać, żeby trzy dni w tydzień chcieli roboty odprawować, byle drugie trzy dni wolne mieli, bardzo się nam to zda słuszna.“

[2]) Rutkowski: „Studya nad położeniem włościan“. („Ekonomista“, 1914, I., str. 110.

zaś bronili ich oni tylko wtedy, gdy to zgadzało się z ich interesami, sami bowiem byli rodzajem małych panów, mając o wiele większe uposażenia od osadników i szereg praw majątkowych, których ci nie posiadali. Usunięcie ich w formie wykupienia było o tyle złem dla wsi, że sądownictwo wiejskie przeszło teraz w całości na pana, ponadto zaś, że zabrakło w ustroju państwowym ogniwa pośredniego między dworem a chatą, ogniwa, które łagodziło wielkie różnice stanowe i majątkowe. Po wykupieniu sołtysów naprzeciwko siebie stanęły dwie grupy społeczne, o wręcz odmiennych dążeniach, dwie grupy wzajemnie się zwalczające — panowie i poddani, przyczem stanowisko tych ostatnich było z natury rzeczy przesądzone, skoro między nimi nie stało spójni, nie było porozumienia co do wspólnej akcyi, nie było zorganizowanego oporu, jako warstwy, w przeciwieństwie do szlachty, która w walce o przywileje z panującym stanowo się zorganizowała, a w walce z poddanymi miała do rozporządzenia cały swój wpływ państwowy. Rezultatem tej walki było rozstrzelenie się terytoryum Rzptej naprawdę na tyle państw, ile było podmiotów prawnych, uprawnionych do nabywania dóbr i rzeczywiście je posiadających. W każdem z tych miniaturowych państw, pan spełnia rolę władcy, mając w swem ręku skupioną całą pełnię władzy, nie dopuszczając jakiegokolwiek wmieszania się czynników zewnętrznych w stosunki wiejskie.

Tak więc wpływ momentu gospodarczego uwidocznił się w zupełnem poddaniu poddanego pod władzę pana. Poddanie to zaś — jak stwierdza szereg uczonych — znalazło swój wyraz w smutnem położeniu włościanina, które tem w gorszem świetle się przedstawiało, że chłop był ciemny i nie umiał wydatnie pracować na gruncie, coraz więcej rozdrobnionym [1]). Oczywiście i na gruncie pańskim nie lepiej zabierał się do pracy, brakło mu bowiem najważniejszej podniety, która człowiekiem kieruje — poczucia własnego interesu. Bydło robocze, otrzymane z folwarku dla obrabiania swoich i pańskich gruntów, bił i źle żywił, ponieważ wiedział, że i tak dwór będzie zmuszony mu dać inne, a i z budynkami, w których siedział, nie lepiej się obchodził [2]), — był bowiem przekonany, że w razie ich spustoszenia drzewo na ich naprawę i robotnika otrzyma na polecenie dworu. Dwór, obserwując te sto-

---

[1]) Tokarz: „Galicya“, str. 211.

[2]) Knapp: „Bauernbefreiung“, t. I., str. 69.

sunki, otoczył poddanego wszechwładną opieką, nie pozwalał mu zrobić żadnego kroku ważniejszego w gospodarstwie bez swego pozwolenia, w potrzebie zaś, widząc go opornym, robił użytek ze swej władzy sądowniczej i karał go ostro.

Dr. Józef Rafacz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Mieczysław Romanowski.

(ZARYS KRYTYCZNY).

(Na podstawie źródeł rękopiśmiennych).

(Ciąg dalszy).

III.

Dążenie romantyzmu i wyznawców jego szlakami pieśni o czynie ku przyszłości, skąpanej w blaskach tęczowych, było tą twarzą młodzieńca z pomnika Janusa, który spozierał z pogodą w oku na bieg losów niezbadanych. Zostało jeszcze drugie oblicze pomnika, o starczym już wyglądzie, odwrócone w zamierzchłe dzieje, w przeszłość niepowrotną. To było zapatrzenie literatury całej ku Polsce świetnej a minionej, Polsce dawnych tradycyj i dawnego bujnego jej życia. Na rozdrożach zatem stanęło piśmiennictwo, zadanie swe pojmując nietylko wskazywaniem kolei, po której duch miał iść do swych celów, ale też krzepieniem serc ogółu, stwarzaniem dla pozbawionych własnej Ojczyzny synów fikcyjnego choćby jej obrazu przez rozsnucie świetności szlacheckiej. Tęsknota ku niej rwała wydziedziczonych, wspomnienie nakazywało cofać się o lat setkę i widzieć wszystko najlepsze i wszystko najwznioślejsze u ojców i dziadów — i w ten sposób rodził się sentyment, co zatracił miarę dla dawnych obyczajów, słusznie chłostanych satyrą Krasickich i Zabłockich. Rodził się przez tęsknotę kult przeżyć wolnego narodu, kult konieczny a pożyteczny, bo zmuszający do utrwalenia

i przekazania potomności tego, coby kiedyś zginąć musiało niepowrotnie, ale też niebezpieczny ze względu na to, że mógł zwrócić, a po części i zwrócił literaturę ku powtarzaniu tylko dziejów kontuszowych, jak to się stało n. p. z literaturą krajową za czasów Syrokomli i Pola. — Szczęściem, że typ ten apoteozy historyi i tradycyi dostał się w samych początkach w ręce godne: w ręce wielkich mistrzów. Bo ani Malczewski w swojej „Maryi", ani Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" nie przeszli granicy artystycznej i poczucia prawdy, a temsamem dali malowidło, nie skażone żadną domieszką barw jaskrawo jasnych. Na wyżynie tej nie utrzymali się inni. Rozmiłowany do ostatecznych granic w echu, co mu ciągle dzwoniło nutą rojeń kordyalnych, Henryk Rzewuski w „Pamiątkach Imci Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego" (1839) już poczyna kolorów dokładać do palety swojej, grubo posrebrzać i pozłacać mosiężne blachy, szych brać za kruszec prawdziwy, błyskankę i świecidełko za drogie kamienie. Dla swoich bohaterów szyje kontusze na szerokość piersi posągów Fidyasza i już ich dalej stawia w słonecznym szeregu typów najgodniejszych. Ale to wszystko jeszcze mało dla wielbicieli bezwzględnych przeszłości. Za nic im „Marya", w której poeta — zdaniem najświetniejszego krytyka M. Mochnackiego — „szatę polskiego szlacica — żupan, kontusz, toż broń jego, kord, karabelę do poetyckiej wzniósł godności i w poetyckiem pokazał świetle", a „idealizuje wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie i stroju", — za nic im „Pan Tadeusz", ginące pokolenie z sejmikami i zajazdami, ucztami i zwyczajami, a przedewszystkiem typem ostatnich ze szlachty zaściankowej, z dworków i dworów wskrzesłych szlagonów — oddający. Im to wszystko za mało. Wytworzył się jakiś pod ratowniczy, jakby pogotowie muzealno-literackie, co wyławiało resztki Polski wolnej i przenosiło je żywcem wierną kopię do ksiąg i opowieści pisanych. Nawet Rzewuski, który XVIII. wiekowi rzucił aureolę złocistą na jego przeszłość, wydawał się zanadto powściągliwym, zbyt krytycznym. Cóż wobec tego znaczyć mogły nie często o artystycznym walorze, a zawsze tendencyjne powieści w rodzaju Bernatowicza „Pojaty", Niemcewicza „Dwu panów Siecichów", lub Fr. Skarbka „Pana Starosty"? Nawet „Listopad" jeszcze nie doszedł do tej miary widocznie wymaganej i utęsknionej, skoro już po nim K. Gaszyński „Kontuszowe pogadanki" swoje musiał opatrzyć wstępem, w którym nawołuje do ocalenia od zapomnienia wszystkiego, co stanowiło przeszłego pokolenia typ ginący niestety.

Jeśli się to łaknienie dobrych złotych czasów weźmie pod uwagę, jeśli się wspomni, że ono wydało te wyż cytowane a rozgłośne rzeczy, i będzie się baczyć na poczytność, jaką tego rodzaju lektura znajdowała, — to przyjdzie się do przekonania, że taki szlachcic, nie z krwi wprawdzie, ale upodobań i temperamentu, jakim Pol był, — musiał, o ile folgę sercu chciał dawać a czytelnikom swoim zadowolenie, zwrócić się ku gawędzie historycznej. Lepszą ona była, niźli powieść obyczajowa, niźli wystudyowana charakterystyka epoki dziejowej, bo mniej ciężka, mniej nudna. I miejsca tu na przedługie opisy nie było i składniej się rymem czytało. Czasy żołnierskie, ognia i werwy pełne, po r. 1831 zachwycały się Januszowym „Wieczorem przy kominie“. Tam był zadatek, początek Pola-gawędziarza. Po tych skromnych, ale znamiennych zapowiedziach przyszły „Przygody“ i „Pamiętniki Benedykta Winnickiego“, następnie „Mohort“, a im więcej lat przybywało samemu autorowi, i im więcej chciał on o przeszłości powiedzieć potomnym, tem dłuższym i bardziej ciągłym stawał się szereg opowieści z najwybitniejszemi, choć już nierównemi dawnym, „Stryjanką“ i „Panem starostą Kiślackim“.

Pol był sławnym, „modnym“, rozchwytywanym, — nadawał, rzec można, ton w literaturze w tych latach, — a było to dzięki temu, że on wreszcie szczęśliwie wpadł na pomysł tworzenia obrazków z czasów sumiastych wąsów i omszonych gąsiorków starego wina, — dusz rogatych, animuszu pełnych, grających tętnem krwi żywej. Zostawił za sobą nieudolność Rzewuskich, zbyt wielki tragizm Malczewskich, wygórowany i nie dla wszystkich artyzm i piękno Mickiewicza. Był strawą dla nizkich i najniższych, zaglądali doń chętnie i wybredniejsi czytelnicy, boć przecie on nasz, swojski, wskrzesiciel ojców i dziadów. — A Pol utrzymywał się ciągle w jednej mierze. Nie szarżował, nie powtarzał jednych efektów, — choć na starość poczynał stawać się gadatliwym nad miarę. Ale mieli wyręczyć go już młodzi, na nim wyszkoleni i jego wpływom ulegli. Więc przedewszystkiem Wł. Syrokomla, poeta uzdolniony, choć bez kultury literackiej i wiedzy rozległej. Bez lotów szerokich, bez aspiracyj wyższych i dążeń wygórowanych, w skromnych ramach gawędy szlacheckiej utrzymywać się on umiał i potrafił nie źle. „Urodzony Jan Dęboróg“ niema wprawdzie tej plastyki postaci, która charakteryczną była u Pola, niema akcyi żywej i barwnej, przemawia jednak żywością i bezpośredniością uczucia, łatwym i płynnym sposobem opowiadania. Drobniejsze szkice, więcej treścią o biednych i wydziedziczonych, chwytają za serce

czytelnika, niźli pięknem samem przez się. Dużo tu waży szlachetność i intencya, mało artyzm, więcej uczucie, niż rutyna pisarska i „zacięcie“ pióra. Toż Syrokomla nie może się równać z Polem pod żadnym niemal względem. Stopniem bowiem poetyckiego uzdolnienia należał do rzędu niższych, choć nie bez zasługi dla literatury.

Jak już z tego pobieżnego przeglądu widać, powstała w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia żądza gawędy u czytelników, a bujny jej rozkwit w literaturze. To była forma literacka, najbardziej wówczas wzięta, — próbował się w niej każdy, chcąc iść śladami Janusza lub Deboroga. Nie wszystkim dane było atoli zwrócić na siebie uwagę krytyki i krytyków, tembardziej, jeśli młody adept sztuki rymotwórczej nie wchodził na Parnas z czemś rzeczywiście nowem i oryginalnem. Udało się to jedynie, mało jeszcze wtedy znanemu z wierszy ulotnych, Mieczysławowi Romanowskiemu. To raczej poczytność „Nowin“, w których był drukowany „Chorąży“ i „Chart watażki“ (1854 i odbitka) sprawiła, niźli utwory same i nazwisko autora. Bo gawędy to ani nie zapowiadające talentu wielkiego, ani nowe i niespodziane dla czytających. Pierwsza miała wzór świetny i niezapomniany w „Maryi“, ten też wzór niewolniczo naśladowała i w treści i w poszczególnych momentach. Tak tu, jak i tam za tło służą czasy napadów tatarskich na Polskę, tak w „Chorążym“, jak u Malczewskiego, są typy cichej, pięknej i kochającej Maryi i zacnego a dzielnego młodziana, który tu z Wacława na Zdzisława zmienił się jeno. Znalazł się i szlachcic na podobieństwo Miecznika, tylko, że godność starosty piastował. A konflikt cały powstaje także z miłości, jaką młodzi żywią ku sobie. Koniec jedynie szczęśliwszy, bo u Romanowskiego wesele rzecz zamyka, podczas gdy w „Maryi“ smutek i śmierć wieje z kart ostatnich.

Treściowo „Chorąży“ jest bardzo prosty. — Zdzisław z Marya kochają się w sobie, do małżeństwa jednakowoż nie dopuszcza ojciec młodej, który radby dla niej męża znaleźć znamienitszego niż chorąży. I niby z miłości tej nie było, bo śluby wbrew życzeniu starosty nie odbyłyby się z pewnością, gdyby nie szczęśliwy traf losu, który pozwolił Zdzisławowi obronić ojca i córkę w walce z najeźdźczymi Tatarami. — Nagrodą dla bohaterskiego młodziana jest ręka Maryi i błogosławieństwo starca.

Więc to niby wykrawek z dzieła Malczewskiego, bez jego strasznego końca, tylko wykrawek „oczyszczony“ z tych drobiazgów i dodatków, które składały się na tragiczne dzieje małżeńskiej

pary. Ale też to zaszkodziło gawędzie Romanowskiego. Bo o ile Malczewski okazał się mistrzem w tem „wikłaniu treści“, jak się wyraził Mochnacki, o ile twórca zdobywa się na takie efekta artystyczne, jak pieśń masek, — to młody autor omawianej przez nas opowiastki nie wdaje się w żadne upiększenia, treściowo nie piętrzy przeciwności i przeszkód przed swoimi bohaterami, a tem samem i uwagi czytelnika nie przykuwa niczem prawie, a ciekawości nie trzyma na uwięzi. Wiersz płynie za wierszem monotonnie, zmierzając ku najsilniejszemu w zamierzeniu autora miejscu, ku opisowi pościgu tatarskiego i pojedynku starosty. Lecz jakże to blado wypaść musiało w zestawieniu z takąż samą dosłownie sceną u Malczewskiego? Byle choć autor nie wprowadził był w podobieństwie do swego wzoru Zbigniewa, przybywającego z pomocą w takich okolicznościach i z tym samym skutkiem, jak w „Maryi“. Ale nie! Wydawało się widocznie Romanowskiemu, że dla miana poety wystarczy coś, co już było — swojemi opisać słowami, rymem nowym opiewać stare dzieje. Zapomniał lub może jeszcze nie wiedział dwudziestoletni śpiewak, że naśladownictwa, choćby udatne, nie mają znaczenia w literaturze, bo są jej jeno ilościowem, a nie jakościowem zwiększeniem. Zatem „Chorąży“ — mimo, że wzorowany na „Maryi“, mimo, że już miał oprzeć się o co — nie może rościć sobie pretensyi, jakoby autor jego „rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadził, rzucał rys za rysem, kształcił, malował porządek, pasmo wydarzeń wiązał w całość, wszystko usuwając z przed oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przeźroczystą, astralną siatką, która się w poezyi nigdy podobać nie przestanie“. Nie może sobie rościć pierwsza próba Romanowskiego w tym rodzaju pretensyi do przyznania jej tych zalet, jakich dopatrzył się krytyk w pierwszem i ostatniem dziele Malczewskiego. — Tak zaznaczyła się różnica talentu i geniuszu.

W tymże tomiku, co „Chorąży“, pomieszczony jest „Chart watażki“: te same ma wady naśladownictwa, jakie wyżej zaznaczono. Nie treściowo jednakże, lecz pod względem formy i ujęcia opowiadania, — gdzie w każdem niemal słowie poznać można Pola. To już gawęda „najczyściejszej wody“, mówiona wprost przez jednego z tych, który brał udział w zdarzeniu. — Było to ongiś na kresach, tam, kędy się z wolnym wichrem szło w zawody, a zajęciem były wojenka i myśliwstwo. Raz na szaraka we dwa konie z chartem na smyczy, poszli przyjaciele; zapędzili się atoli zbyt daleko, przeszli kresy i dostali się w niewolę tatarską. Niechybna

śmierć ich czekała, ale niespodzianie nadeszło wybawienie. Oto „za węchem“ przyszedł chart do swego pana, przegryzł jego więzy, a uwolniony szlachcic i towarzysza swego rozkrępował. Uszli cało, a naturalnie cudowne wybawienie musiało rozczulić bohatera, który pod koniec opowiadania swego łzę puścił z pod powieki, dużą jak brylant, a efektowną, jak każde ostatnie słowo narratora, liczącego na poklask słuchaczy.

Krytyka nie wiele przyznać może „Chartowi watażki“. Jędrność słowa chyba większą, niż w poprzednim utworze, i zdolność prowadzenia opowiadania, podpatrzona dobrze u Janusza. Ale te zalety nie wyniosły jeszcze Romanowskiego ponad przeciętny typ gawędziarza.

Krokiem naprzód jest „Śpiewak z oazy“, powieść oryentalna o pieśniarzu, który w latach swych młodych stał się mimowolnym zabójcą kochanki i przyjaciela, a później przez całe życie pokutował za tę nierozwagę, jaka pozbawiła życia dwojga ludzi niewinnych. Znać na poemacie tym znaczne już wyrobienie pisarskie, zdolność cyzelowania wiersza, plastyczniejszego kreślenia postaci. Okrasa słownictwa, wplatanie opisów przyrody, wspomnień, łączących się z myślą, mimochodem rzuconą, — wszystko to dozwala przypuszczać, że ciągła praca Romanowskiego nad sobą musiała być bardzo wielka, skoro kilkomiesięczna ledwo „nauka“ tak dobre wydała owoce. Lecz poza tymi przejętymi postępami nie widać jeszcze indywidualności piszącego, oryginalnego stylu, nadania kolorytu, stworzenia charakterów nowych i niezwyczajnych. Pierwej Malczewski i Pol byli mentorami, teraz znów w „Śpiewaku“ przyszła kolej na Słowackiego. To „Arab“, to „Ojciec zadżumionych“, to wreszcie „Mnich“ przypomną się echem, nie odległem wcale, i ciągle ma się złudzenie, że gdzieś kiedyś czytało się to wszystko. Nie uderza w „Śpiewaku“ nic nowego ani w koncepcyi, ani w twórczym wyrazie. Opanowanie materyału tylko i władanie nim podkreślić można, jako dalszą ewolucyę w pracy pisarskiej Romanowskiego.

I jeszcze jeden utwór miał zwiększyć dorobek literacki naszego poety w tym okresie, w którym nie tyle dla sławy, ile dla wprawy i wyszkolenia pracował. To „Posłannik“. Według zwierzeń autora, „chciał on w nim spotęgować siły swoje“, może nawet zawrzeć najśmielsze loty. Radził się znajomych, jak rzecz przedstawić, wykończoną nawet posłał K. Ujejskiemu do przejrzenia i wydania oceny. Nie wiedzieć, dlaczego Romanowski tak wielką wagę przykładał do tego drobiazgu o treści nikłej, prawie, że za-

dniej. Czy może neciła go ku sobie postać emisaryusza, który przechodził od chat wieśniaczych do dworów szlacheckich i pałaców magnackich z wieścią o zbliżających się czasach pomsty? Czy może śmierć niezwykła Zoryana, ginącego z ręki współplemieńca czerkiesa, tak świetnym efektem poetyckim była według niego? Trudno przesądzać tę rzecz, — powiedzieć jednak trzeba, że tu zamierzonego „spotęgowania sił" niema, zauważyć zaś należy nawet pewne cofnięcie się poza „Śpiewaka z oazy". Trafnym był też sąd Ujejskiego[1], który zarzucał „Posłannikowi" bierność, a brak silniejszych i bardziej wyrazistych rysów nazywał delikatnie próbą malowidła, a nie „ciosaniem z kamienia", tem „rzeźbiarstwem, które w poezyi jest szczytem największym".

Jakkolwiek wiele zarzutów pierwszym opowiadaniom i gawędom Romanowskiego czyniliśmy w uwagach powyższych, jakkolwiek za mało znaczące i wartościowe uważamy je w dorobku jego ogólnym, — to mimo to stwierdzić wypada, że ćwiczenia poetyckie, jakiemi próby te były, nie pozostały bez zbawiennego wpływu na dalsze kształtowanie się talentu przyszłego autora „Łużeckich" i „Dziewczęcia z Sącza". Usterki i niedociągnięcia, braki wszelkie najlepiej ujawniły się z odległości czasu samemu poecie i już widział on, jakby rzecz należało poprowadzić, co dodać, a czego ująć, gdyby raz jeszcze do opracowania poetyckiego takich tematów przystąpił. Samouctwo twórcze, potrzebne nawet największym talentom, dokonywane najczęściej poza ramami uwiecznienia tego drukiem, — u Romanowskiego było dostępne każdemu w „Chorążym", „Czarcie watażki", „Śpiewaku z oazy" i „Posłanniku". — Zmaganie się z formą i zapożyczenia treściowe, uległość dla piękna wzorów obcych — wszystko to już miał poeta za sobą, mógł więc porwać się na utwor większy, w którym nie byłby ani naśladowcą, ani epigonem niczyim. Takim też poematem są „Łużeccy" (1856). Zostały już pierwsze utwory daleko poza tą nową opowieścią, w której widać świadomość całą celów i środków autora. Po treść sięgnął teraz Romanowski ponętną, czasów wojen i ruchów kozackich, rozgrywającą się na barwnem tle stepów ukraińskich. Ludzie pełni brawury, przechodzącej w dzikość nawet, ciągły szczęk oręża, potoki krwi, łuny pożarów — to temat w zupełności odpowiedni dla Romanowskiego. Trzeba było tylko wystudyować epokę, by poruszać się w kole ludzi i typów dawnych, jakby pośród zna-

[1]) rkp. z dnia 11 lipca 1855 r., autogr., w posiadaniu p. M. Wolskiej we Lwowie.

jomych. Sposobności do tego nie brakło, bo właśnie wtedy (1853) wychodziły „Roczniki Polski Klimakterów“ Kochowskiego, w przekładzie wydane przez J. N. Bobrowicza (Lipsk, nakł. Księg. zagr.). „Klimakter“, IV., w księdze 4-tej, zawierał wspomnienia o kasztelanie podlaskim, Karolu Łużeckim, wojującym z Tatarami oraz o obronie szczupłego zameczku Budzanowa, odpierającego pod wodza Tomasza Łużeckiego ataki Turków, — skazujących wreszcie obrońcę na śmierć pod toporem katowskim. Te dzieje posłużyły za osnowę do największego rozmiarami poematu naszego autora. Przedstawił on w braciach Łużeckich dwa różne, biegunowo odmienne typy szlachty. Karol dumny, zaufany w swe siły, magnat, co „za króla Michała“ „zasługą ojca godności się dobił“, nieposiadający żadnych przymiotów osobistych, prócz wielkiej pewności siebie, zagalopowawszy się w nierówny bój z Tatarami sprzymierzonymi z Doroszem, salwuje się ucieczką haniebną. Tę plamę na nieskazitelnym rodzie Łużeckich stara się zmyć brat Tomasz, o którym powiadano: „To mąż z żelaza i w polu i w bolu.“ Udaje mu się to zupełnie dzielnem stawieniem czoła, po trzykroć wyprawiającym się na słaby punkt strategiczny Turkom. Nierówna walka, w której giną wszyscy rycerze ze strony polskiej, skończyć się musiała pojmaniem wodza, okupującego życiem swem hardość i honor, który mu nie pozwolił nawet za cenę uwolnienia poniżyć się przed baszą tureckim.

Zamiar poetyckiego odtworzenia dwu indywidualności, streszczających w sobie niemal całą ówczesną szlachtę, udał się Romanowskiemu nadspodziewanie dobrze. Charaktery, rzucane ręką pewną, kilku pociągnięciami ledwo szkicowane, występują plastycznie, a są wycieniowane kontrastowo świetnie. Owo podkreślenie lekceważenia przez Karola wszyskiego i wszystkich, wybijającego się na czoło jego licznych przywar, nie mogło być lepiej przeprowadzone, jak temi krótkiemi odpowiedziami kasztelana na doradzane mu pośród bitwy plany przez podkomendnych. A cenienie sobie klejnotu szlacheckiego wyżej ponad życie własne, jak znów dobrze czytelnikowi podsunięto w opowiadaniu Tomasza, związanem z odczytywaniem kronik rodzinnych Ojcu Gaudentemu. Ów wreszcie Mnich, jakąż niezwykłą jest postacią! To jakby drugi ksiądz Marek — człowiek opatrznościowy, — święty prawie, przed którym, gdy wzniesie w modlitwie ręce ku niebu, zatrzymują się szeregi hord dzikich, zaniechają pościgu, — lub gdy z sztandarem rozwianym stanie na rumowisku Budzanowa i z kordem w drugiej ręce na szyki nieprzyjaciół pójdzie, — będzie niby mścicielem krwi roz-

lanej, a potem apoteozą honoru Polski, — skoro wolną chorągiew uniesie z zamętu walki i będzie nią swobodnie wiał ponad pożogę i mord, ponad zniszczenie i śmierć.

Ale o ile te trzy typy występują z tła ostro, o ile są zbliżone do pojęć naszych o ówczesnych ludziach, bojownikach bez skazy lub możnowładcach nieukróconych, o tyle same dzieje, których byli oni synami, są w poemacie tak mglisto, mętnie i niewyraźnie podmalowane, że na tem traci rzecz cała, choćby najświetniej w osobach i charakterach uchwycona. Nie dostrojony jest utwór cały do czasów strasznych, owej istnej Sodomy i Gomory w Rzeczypospolitej, kiedy to ludzie głowy tracili, oryentacyi nie mieli i wreszcie już nadzieję porzucali najsłabszą. Nie znać w nim, w tym poemacie, że to ta chwila przełomowa w Polsce była wówczas, w której ogniem i mieczem znaczyły się szlaki pochodne rycerzów, a lemiesz i pług spoczywały na długie lata, zardzewiałe w lamusach. Za wielki to temat i za trudny do malowania go skromnemi jeszcze farbami małej palety Romanowskiego. Kolorów zbrakło, tchu i rozmachu nie stało na płótno wielkie, gdzieby perspektywa nie zgubiła się w załomach, horyzont nie zginął poza pierwszoplanowemi kwestyami. Siły nie dopisały jeszcze przedsięwzięciu śmiałemu — i krytyka, choć przyznać musi niemałe zalety „Łużeckim", to jednak bez zastrzeżeń zgadza się na określenie samego Romanowskiego, że to „jeszcze studyum na tej drodze, która miała go prowadzić dalej i trochę wyżej, jak stał" w r. 1856.

W każdym razie ta ostatnia powieść poetycka, przewyższająca wszystko, co dotychczas dał autor, zaznaczyła nowy etap w jego twórczości, którego wybitną już cechą było skupienie się i zdolność wyłowienia z chaosu myśli własnych i surowego tworzywa historycznego momentów ciekawych, a zarazem mających w sobie pierwiastki silne i intrygujące swą fabułą. Lecz poeta, jakby wyczerpany większą pracą [1]), nie zabierał się teraz do studyów, na obszerniejszy zakrojonych rozmiar. Pisał krótkie obrazki o starym hetmanie, co po bojach odpocząć chciał w domu, a losy nie dozwoliły mu na to, wtykając do rąk buławę, wyoraną z roli („Buława Rewery"), to znów bawił czytelnika „Starą bajką" [2]) o wojewodziance i jej kochanku, o zbezczeszczeniu tego ostatniego przez

[1]) ob. Cz. I., str. 30, list z końca grudnia 1855 r.

[2]) poprzedni tytuł „Starej bajki" był „Pan z panów": ob. list z d. 22 września 1857 r., Cz. I. str. 46.

wojewodę i śmierci obojga zakochanych, wreszcie o „Konfederacie z Kałusza“, przypominającym sobie ciąg swego na bojach spędzonego żywota. Drobiazgi te, jakby odpadki z większego warsztatu, pomieszczone w pismach, robiły dobre wrażenie składnością rymów, nierzadko pięknem powiedzeniem, nie szły atoli dalej poza udatne ustępy Łużeckich, nie prześcignęły ich, a nie zawsze im dorównywały. Znalazł się jednak utwór nieco dłuższy, w którym widoczna jest zmiana formalnego opracowania tematu. Bo też „Starosta Żegocki“ (styczeń, 1858) niema tych nierówności i wikłań, jakie były jeszcze w „Łużeckich. — Osnowa treści rozwija się tu logicznie i prostolinijnie, jeden fakt jest koniecznem następstwem drugiego. Inaczej mówiąc w obrazie przebija się dokładne przemyślenie całości przez autora i ułożenie z góry już planu całego. To będzie też najwybitniejszą cechą i najwyższą zaletą późniejszego nieco „Dziewczęcia z Sącza“. Pod tym względem „Starosta Żegocki“ jest poprzednikiem i dobrą zapowiedzią najlepszego naszego eposu mieszczańskiego. Jest on jeszcze i z innego powodu taką zapowiedzią, mianowicie przez sam temat, zaczerpnięty z wojen szwedzkich. Już prawdopodobnie Romanowski gromadził materyały do zamierzonej pracy, już przysposabiał się do wyśpiewania dłuższej opowieści — i w chwili myśli swobodniejszej rzucił na papier wierszy kilkaset o dzielnym wojowniku, który podczas polowania Landgrafa zajął okupowaną przez niego Kościanę, by później zmienną rzeczy koleją zostać zwyciężonym przez przemożne siły szwedzkie i krok swój bohaterski wraz z czterdziestu towarzyszami przepłacić głową. Podkreślony, kilka linij wyżej, spokój w rozkładzie materyału, dzielnie jest wspierany przez równość i swobodę rymów, niewyszukanych co prawda, ale też nie rażących pospolitością i łatwością nadmierną. Może tylko zbyt naiwnie prowadzona jest rozmowa zwycięskiego starosty z wracającym Landgrafem, może za mało umotywowany gniew towarzyszy, razem z bohaterem wsadzonych do turmy. Zdaje się, że oni, wybierając się na zdobycie Kościany, przygotowani być musieli na każdą ewentualność i uwięzienie wcale tu nie było winą starosty Żegockiego. — Ale na rozważanie takich usterek i braków krytyka tegoczesna czasu nie miała, bo zanim ze skalpelem analizy do pracy tej przystąpiła, już okazało się drukiem dzieło prawdziwego talentu i dojrzałych sił artysty. Było to „Dziewczę z Sącza“. Powstało ono w czasie od końca stycznia 1858 r. do końca marca 1859 r. [1]). Pierwszy rzut

[1]) por. listy z d. 6 sierpnia 1858 i 10 marca 1859.

poematu — wnosić można z daty, położonej u końca rękopisu — istniał już dnia 29 maja 1858 r. Niezadowolony był ale poeta z dzieła swego, więc celem dopełnienia studyów udał się w sierpniu do Nowego Sącza. Miał zaś już w tece drugi skrypt, z datą d. 10 lipca 1858. Ostateczna redakcya powstała — jak to widać z listów — dopiero z końcem marca następnego roku (1859)[1]. Poprawek i przeróbek w całości było sporo. Zrazu wchodziły zmiany treściowe, później już tylko stylistyczne[2]. Zachowane autografy świadczą o wielkiej dbałości poety o szatę zewnętrzną.

Kroniki Sącza, co zapisały wyswobodzenie miasta z rąk szwedzkich w czasie najazdów Karola Gustawa na Polskę, stały się zrębem faktycznym dla opowieści. Cała Polska zalana była wojskami nieprzyjacielskiemi aż po Tatry. Jan Kazimierz musiał uchodzić na Śląsk do Głogowy, żołnierz polski odstąpił swych hetmanów, Czarniecki jeden opierał się w Krakowie, lecz i on uledz musiał w końcu. Polska skupiła się cała w murach Częstochowy. Nowy Sącz tylko zerwał się do rzezi najezdników, kiedy mieszczanie dowiedzieli się, że Szwedzi planują wyciąć wszystkich do nogi, a miasto chcą zniszczyć ogniem. Podania niosą, że uprzedziła ich o tych zamiarach pewna dziewczyna, która kochanka miała w szwedzkim oficerze. — Tu znalazła się dla poety fabuła sama. Ale nauczony już własnem doświadczeniem, nie obrazował Romanowski całych dziejów ówczesnych, nie przeciwstawiał walczących obozów, tragedyi wielkiej, ostatnim wysiłkiem stojącego narodu. Już na „Łużeckich“ przekonał się, jak niebezpiecznym jest taki eksperyment, jak trudne jest wyjście z mnogości faktów, które muszą się zmieścić w stosunkowo szczupłe ramy. Więc na boku zostawił króla-tułacza, i ratownika-hetmana, — a z dalekiej ledwo perspektywy ukazał Częstochowę z Kordeckim. Wolał zamknąć się w murach sandeckich i dać mały wycinek z tego „potopu“ XVII. wieku, opleść dzieje z historyą serdeczną dziewczęcia, co spełniło rolę wybawicielki braci swych z niewoli. — Studya rozległe nad ówczesnem mieszczaństwem uchroniły autora od popełnienia zasadniczego błędu, jakiemu mógł uledz, przypisując powstanie 13 grudnia 1655 r. poczuciu obywatelskiemu — a spełnianiu powinności i posług zagrożonej sprawie. Romanowski

---

[1]) W tem ustaleniu daty prostuję wywody moje poprzednie (Cz. I., str. 56).

[2]) Pod tym względem charakterystyczny rozdział „Trumna“; ob. druk waryantu: „Tygodnik Podolski“, Nr. 5, z r. 1901.

pojął tak, jak było w istocie, owo zerwanie się, — jako akt samoobrony. Świadomie to nawet podkreślił w utworze (II., 238). Z takiego ujęcia rzeczy wynikło też i skreślenie postaci głównej bohaterki. Oto Basia, kiedy od oficera szwedzkiego a kochanka swego dowiedziała się o mającej nastąpić rzezi miasta — nie popada w konflikt żaden. U niej niema uczuć patryotycznych, któreby dla Ojczyzny kazały jej rzucić ubóstwianego, kazały zmilknąć sercu, a oddały głos dziewczynie-obywatelce. Ona możeby nawet uszła spokojnie z miasta, gdyby rękę jej podał umiłowany i wyprowadził do zacisznego domu szczęścia własnego. A o przestrodze współmieszkańców ani myśli. Podkreśla ciągle, że ją i dziadków obroni kochanek a reszta niech idzie, niech ginie. Ale śni się jej, niemal na jawie widzi rzeź planowaną, krew bluzgającą, ogniste języki płomieni, — a w uszach dzwonią jej jeszcze niedawne słowa oficera. Zatraca się prawie granica rzeczywistości i snu, — wrażliwa dziewczyna dostaje obłędu i w nim dopiero na pół prawie przytomna wyznaje powierzoną sobie tajemnicę. To już przypadek, siła, leżąca poza nią, sprawia resztę. Ona sama jest i zostaje bierną, nawet w dalszym ciągu, kiedy życie swoje chce złożyć na służbę Bogu, — a mimo to obłędna wybiega ku posterunkowi kochanego, własną piersią przed ciosami go zasłania i pada wreszcie wraz z nim. — Dużo w tem tragizmu — nie z pierwiastku bohaterskiego. Bo do tego ostatniego trzeba świadomości działania, trzeba zwycięstwa nad samym sobą, przezwyciężenia jednych uczuć dla drugich, ofiary wreszcie, wynikłej z głębokiego przekonania, że jej spełnieniem osiąga się lub wytycza drogę do celu jakiegoś. A w „Dziewczęciu z Sącza“ niema ani walki, kończącej się tryumfem idei, ani świadomości tego, co działa. Ona wybawicielką swego miasta stała się mimo swej woli i chęci nawet, — na bohaterkę nie dorosła jeszcze. Byłaby polską Joanną d'Arc, gdyby w rozwianym jej włosie plątała się aureola cudowności, wydobytej z duszy własnej, gdyby z rozwartych szeroko oczu patrzył nie obłęd, ale seraficki spokój zrównoważenia. Lecz jeśliby taką była skromna mieszczka Basia, — wówczas istniałby między nią a sandeczanami przedział, przepaść, przez którą przejścia by nie było. Obywatelskość bohaterki bowiem nakazywałaby mieszczanom rzucić się na żołnierzy szwedzkich nietylko w własnej obronie, ale w obronie całej Polski, kazałaby im ławą iść później zwartą dalej, już jako bojującym oswobodzicielom Rzptej. Tak rzeczy postawić nie można było ze względu choćby na ducha, panującego wśród mieszczan XVII. wieku. Inna sprawa, że ci broniący siebie tylko z tak do-

brym skutkiem mieszczanie dodali animuszu wojennego całemu Podhalu i rzucili zarzewie wielkiego a zbawiennego dla Polski ognia, który wreszcie cały ogarnął naród, — to jednak skutek, nie przewidywany przez nich, a więc i zasługa pośrednia tylko.

Mimo ten brak bohaterskich pierwiastków w duszy „Dziewczęcia“ — mimo, że jej heroiną zwać nie można, ani na pierś włożyć pancerza, coby był hartu symbolem, — mimo to wszystko inną ma ona zaletę, wyższą jeszcze ponad tamte, co miarą etyki obywatelskiej i społecznej się mierzy, — bo ma żywe, czujące serce, ten nigdy nie nudzący ani zbyt nadużyty łącznik głównych postaci belletrystyki z współczuciem i sympatyą czytelników. To też w serdeczne koleje pięknej mieszczaneczki wżywa się każdy i darzy tę biedną i nieszczęsną Basię całem swem ukochaniem. Boć to i tragizm niemały mieści się już w tej „grzesznej dla Lutra“ miłości i tragizm w śmierci, przywołanej głosem uczuć. I może więcej nam piękną wydaje się bohaterka, ginąca z swym kochankiem w uścisku, może więcej lgniemy do niej sentymentem, niżbyśmy to uczynić mogli względem zimnej jak głaz dziewicy, miecz dzierżącej w dłoni i sprawującej srogie żniwo śmierci na polu bitwy. Uchylalibyśmy czoła przed ideą, ale nie widzielibyśmy nimbu poetycznego, co zawsze otacza miękką i kochającą postać kobiety, niosącej zwyklej spokój, ukojenie i ciszę, — niźli pomstę, która udziałem mężów jest w czas wojny. — To też w „Dziewczęciu z Sącza“ jej wdzięk, jej czułość, jej wiotką niby tęczową postać podziwiamy jako uosobienie kobiecości i cichych, tęsknych uczuć wielkiej, niezłomnej miłości.

Jest w poemacie Romanowskiego i inna miłość, odmienna od tamtej zupełnie. Wcielił ją poeta w postać Bartka, kochającego Basię bezwzajemnie. W tym cieśli zogniskowało się wszystko, co podszeptuje gorące, namiętne władanie sercem. Jest pokora i rozpacz, zaciekłość i zemsta, upór, ból, rezygnacya wreszcie taka bezbrzeżna, odbijająca się głucho w pustce duszy. Znikąd odpowiedzi, pociechy — i raz: „zapomnij“, a drugi raz zimny trup kochanki mówią tylko o tem, że jest rzeczywistość sroga, straszna, bezlitosna. — W Bartku jest to, czego brak Basi, — a więc poczucie spraw obywatelskich, uświadomionych może zawodem miłosnym. Pod wpływem zawiści i zazdrości, że Szwed odebrał mu serce miłujące, zaczyna Bartek poznawać, iż Polska, przez obce żołdactwo zajęta, jest jakby owym wydzieranym skarbem jemu właśnie. Budzi się więc zemsta, chęć odwetu za krzywdę własną i tamtą, wyrządzoną wszystkim. Rodzi się w obojętnym dotąd

człowieku Polak-obywatel, propagujący żywo myśl szybkiego spłacenia długu. I temu zawdzięczać głównie należałoby podniesienie ducha rycerskiego w tych mieszczanach, którzy się zarzekali, że „nie są do pałasza“, a „od wojaczki są wolni“, temu i ów finał grający rozgłośnie hymn na strunach uczucia patryotycznego, kiedy wieść przyszła o Czarnieckim:

„Więc za nim“! — Bartek zawoła do młodzi —
Za nim! Nad Polską nowe słońce wschodzi!

Basia i Bartek. to główne osoby poematu, skupiające na sobie całą uwagę czytelnika. Są jeszcze i uboczne, jak Janusz, mieszczanie: Cyrus, Gil, Gadowicz, Olexowicz, Borycki. Marcowicz, Bogdajłowicz, Krawczyk, Szydłowski i inni. Wszystkie kreślone z wielką prawdą i odczuciem, ztąd żyją własnem, nie papierowem tylko życiem. Są one nie na wielką robione miarę, bo siostrą im rzeczywistość, nie stwarzająca nigdy ludzi idealnych, wolnych od przywar, wad i błędów, darząca czasem nawet śmiesznostką. To obranie sobie naturalnych ludzi za bohaterów, zasługa wielką jest Romanowskiego. A skoro w tem już zasługa, a figury takie przedstawiają literacką wartość, — to niechybnie i to zaletą jest dzieła niemałą, że akcya powieści wtajemnicza nas w arkana i tajemnice codziennego życia mieszczan, codziennego ich bytowania w domu i gospodzie, na naradzie i swadzie, w boju i pracy, radości i smutku żałosnym. Wszystkie te momenty, doskonale w całość spoistą wiązane. ożywione barwną i dobrze rozwijającą się akcyą, w stopniowaniu jej świetnie ułożone, dają siedm obrazów, nie zawsze równych co do wartości literackiej, artystycznego opracowania i wywoływania nastroju.

Pastelowy obrazek zacisza domowego starej gospody malowany z całem ciepłem i serdecznością, wstęp niejako do poematu, wprowadzający nas w historyczną epokę i w serca tajniki bohaterki, do najlepszych tego rodzaju rzeczy Romanowskiego zaliczylibyśmy. Tem okazał poeta, że ze spokojem i rozwagą a obliczeniem planowem umie pogodzić miarę wyższą rzeczywistego piękna. A tuż zaraz, jakby dla efektu, a jednak z konieczności kompozycyjnej, umieszcza scenę „sam na sam“ rozmowy Basi z Bartkiem. Kunszt wielki jest w tem mówieniu dwojga prostych ludzi To walka słów i serc, walka o życie kochania. Od czułych, pieszczotliwych prawie powiedzeń, do rozpacznych, przebijających duszę urywanych wykrzykników, są przeskoki tak nagłe, jak to tylko może być u natur niezłożonych, ani refleksyą, ani konwenansem

się niekrępujących. Ból. choć targający serce w strzępy, nie może wywołać rozpaczy, której następstwem byłby samobójczy koniec. Nie! on trapi, trawi. pożera zupełnie, ale ani nie odbiera wiary. ani nie przysłania świata kirem żałobnym. „Niech ci Bóg przebaczy“ — to jest jedno na wszystko powiedzenie i jeden odruch na zewnątrz walki miłości z zimną obojętnością, Bóg zrządzeniem swojem tak chciał — pomyślał pewnie Bartek, i odtąd przeciw rywalowi swemu nie będzie iść, gdy między nimi stanie Basia, za wolą Bożą innego wybierająca sobie kochanka. Wierzy nawet, że ten luter „jutro będzie katolikiem dla niej“ (II., 270). bo pozna, iż wyższa ich moc nad ziemską łączy.

Po tak silnej scenie, jak decydująca rozmowa Basi z niekochanym Bartkiem. zmierzamy do opisu schadzki Oskara z rozmiłowaną w nim mieszczką „Przy studni“. I wydaje się nam ten obraz mdły, beznamiętny. bezkrwisty, że tak powiemy. Widocznie lepiej pióro Romanowskiego oddawało walkę psychiczną, niż mogło z wielkim zasobem barw tęczowych ułudną a zwodną kreślić miłość. „Gospoda“ i „Odkrycie“, jedność właściwie tworzące dwa obrazy, w pierwszej swej części narady mieszczan przypominają „Pana Tadeusza“, którego też echo znajdzie się później w „Rzezi“. Tylko. że to echo, a może chęć wzorowania się na Mickiewiczowskiem dziele nie wyszło na dobre „Dziewczęciu z Sącza“. Za chybiony bowiem pomysł wydaje się nam wprowadzanie elementu humorystycznego do rzeczy tak poważnej. Bo kiedy w „Panu Tadeuszu“ bitwa była przypadkowa, kiedy tam ani o ratowanie miasta, ani o uwolnienie się od najazdu tysięcznych wojsk chodziło — to tu zbyt nóż był przyłożony przy gardle. zbyt tragiczna była chwila. by uśmiech sprowadzać i bawić czytelnika. Już Zmorski zwrócił na tę niestosowność uwagę — my, zgadzając się na sąd jego. temsamem wspominamy pierwszego recenzenta poematu Romanowskiego.

Właściwie na „Rzezi“ winna się kończyć, wraz ze śmiercią Basi i Oskara, opowieść cała. Czuł atoli poeta niedomówienia pewne, a także chciał zaspokoić ciekawość wszystkich, którzyby się dopytywali o dalsze losy Bartka. Więc dodał rozdział p. t. „Trumna“, gdzie spotykamy się z bohaterem, przygotowującym „wieczne mieszkanie“ dla swojej najdroższej. To była jego ostatnia praca, którą skoro ukończył, rzucił wszystko w domu — i poszedł na wojnę za wschodzącą ponad wyniszczonym krajem gwiazdą Czarnieckiego.

Kompozycyjnie ostatni ustęp jest nadbudową, psującą nieco układ całości. Razi on estetę, zadowala poszukiwaczy fabuły, bo gdzieżby tam która z czytelniczek n. p. Romanowskiego, podarowała mu to, gdyby nie powiedział, co się z Bartkiem stało. Posądzanoby go może, tego cieślę, o Werteryzm, samobójstwo, lub wstąpienie na braciszka do klasztoru. Możeby mniej wybredna fantazya kazała mu się stać opojem, coby w kuflu miodu zapomnienia o nieszczęsnem miłowaniu szukał. — Zatem dla tych lepiej, że poeta swego Bartka wojownikiem zrobił, Polakiem, obywatelem, lepiej choćby ze szkodą reguł architektoniki i kompozycyi poetyckiej, gdyż to utrafiało w jego myśl własną, że każdy utwór winien mieć tendencyę jakąś. W bohaterze ona była szczytna, bo okazała, że niedolę własną złożyć należy na ołtarzu służby i miłości ogółu.

Miały najazdy szwedzkie swego dziejopisarza o piórze barwnem w Henryku Rzewuskim, kreślącym trzytomowego „Rycerza Lizdejkę“ (1852). Butne i bujne życie szlachty wstało na tych kartach i rozchybotane, jak dzwon, obwieszczało żywotność i zasób sił „górnych pokładów“ Rzptej. — Potem genialną apoteozę szlachetczyzny i monument literacki czasom „Potopu“ dał Henryk Sienkiewicz w swojej Trylogii. A jako łącznia tych dwu dzieł zostało „Dziewczę z Sącza“ najszczuplejsze treścią i rozmiarem, a odróżniające się od tamtych utworów zejściem poety do warstw mieszczańskich, podczas gdy wszystkich zajmowała Polska karmazynów i magnateryi. Przez to powieść Romanowskiego ostała się i ostoi na zawsze, pewne i stałe miejsce zajmując w literaturze i wywierając urok nieprzeparty, wdziękiem swym i prostotą przemawiającą z wiersza każdego.

Jak niepoczesne miejsce w piśmiennictwie „Dziewczę z Sącza“ zajęło, tak też i dziełem życia poety się stało, dając mu imię głośne. Bo też wzniósł się Romanowski w swym eposie mieszczańskim do wyżyn kto wie czy nie równych Polowi. Syrokomlę prześcignął, a współczesnych gawędziarzy przerósł o niebo. Żal tylko można wyrazić, że już sam po raz drugi nie zdobył się na taki utwór. Rozdrobnił siły na opowiastki, nie mające trwalszej wartości, rzucał jakby dla zabawki rymy, w których nie znać „lwiego pazura“ talentu. To dawał czytelnikom „Dziennika Literackiego“ gawędę o „Sałdacie z Cudnowa“, co na Sybir był wysłany za to, że grosz chciał swój oddać przeorowi rozwiązanego konwentu, — to tworzył mało silny i przechodzący bez wrażenia opis śmierci Pułaskiego („Savannah“), — to wreszcie wędrówkę „Farysa nie Araba“ szlakiem sokoła wśród piasków pustynnych z tęsknoty za

Polską malował. „Uczta Geronowa“ i „Gero na Lachach“, bez prawdy historycznej, a jednostajnym i nużącym rymem, opowiadają o srogim grafie, który podczas uczty wymordował naczelników lechickiego plemienia, a potem wybrał się na podbój ich kraju, w którym syna jeno stracił, a zwycięstwa nie odniósł. Drobiazgiem też bez większego znaczenia jest „Sen króla Jagiełły, którego pod Tannenbergiem kołysały do spoczynku szumiące sztandary, zdobyte na Krzyżakach. — Już jednak to szukanie tematów i znużyło i opatrzyło się samemu autorowi. Postanowił zatem iść w ślady Pola i znaleźć sobie takiego Benedykta Winnickiego, coby to o wszystkiem dawnem, minionem opowiadał i gotową fabułę do opracowania podawał. Trudno było o żywą, chodzącą kronikę, którąby w pamięci miała lat szereg, a anegdot bez liku. Ale znaleźli się tacy, co jedno lub drugie zdarzenie zapamiętali, mówili o niem chętnie, a powtarzali to samo w nieskończoność. Lecz trzeba było ze zmysłem krytycznym z tego korzystać.

Raz Romanowski w niejakim Januszowskim na dobrego gawędziarza natrafił [1]) i on dał mu treść „Księdza gwardyana Kobylańskiego“. Ten kapłan ożywiony uczuciem patryotycznem, skupujący broń, którą wyposażył oddział czeladzi i młodzieży, kiedy ona pod wodzą rzeźnika Rudnickiego zerwała się do boju — jest piękną i szanowną postacią. Jego stałość i męstwo, okazane przy rewizyi, jaka zakończyła się aresztowaniem księdza i wywiezieniem go na Sybir — przypomniały tę niezłomność dawnego rycerskiego ducha, co tlił pod sutanną jeszcze z czasów służby gwardyana w narodowem wojsku. Toż Romanowski zapalił się, rzec można, do tej historyi krzemienieckiej, a pióro szło gładkim szlakiem rymów, godnych najlepszych miejsc z „Dziewczęcia z Sącza“. Natomiast „Przewodnik w puszczy“, dykteryjka, podsunięta autorowi przez „pułkownika i pielgrzyma Olszewskiego“, — o wilku, co to prowadził puszczą zbłąkanego legionistę, — jest wzięciem za prawdę zmyślenia dość płaskiego, o podkładzie niby to cudownym. Mają myśliwi swoje sławne przygody kłamliwe — mają też takie i pielgrzymi, przywożący z dalekich stron relikwie w rodzaju „szczebla z drabiny, która śniła się Jakóbowi“, lub „łez aniołków, któremi płakali oni nad zbuntowanymi duchami“. Do takiej kategoryi „opowiadaczy“ musiał należeć i ów Olszewski, mający w swym żywocie dziwne a fantazyjne ocalenie. Jemu można przebaczyć hi-

[1]) ob. list do Wasilewskiego z dnia 15 października 1859 r. Cz. I., str. 63.

storyjki i facecye, — poecie, szukającemu w nich fabuły i osnowy dzieł swoich, musi się to za złe poczytać.

Lecz świetlane przykłady męstwa, podkreślone w „Śmierci Żyszki" i „Kanoniku Pstrokońskim", po części naprawiają ujemne wrażenie, odniesione przy czytaniu „Przewodnika". Skoro do nich dodamy „Sen pana Bowblewicza", coś niecoś przypominający manierę Lenartowiczowską, i fragment „Sierocińskiego", który jest niby dośpiewaniem dalszych dziejów skazanego na Sybir gwardyana Kobylańskiego, — skoro przerwaną pieśń o „Mściwoju szalonym", jako niedokończoną, od uogólnień naszych wyłączymy — to w takim razie przyjdziemy do przekonania, że te rzeczy, choć miejscami piękne, mimo to w żadnym stosunku nie stoją do „Dziewczęcia z Sącza". Już w nich nie szukać kompozycyi i linii rozwojowej tak prostej, jak tam, już tego czaru niewyszukanych rymów, żywych postaci, barwnej akcyi nie dopatrywać się wcale. — „Dziewczę" — poznać to zaraz — z serca i sercem było pisane, nad resztą zaciężyła rymotwórcza praca. „Kobylański" jeszcze jeden dałby się ocalić od osądu ujemnego. Gdzieindziej może szlachetność iść na pierwszem miejscu, może się chwalić zacność tendencyi, — ale o sztuce, o poezyi nie mówić długo. Bo ani rymowania jeszcze, ani rytmiki utrzymanej poezyą nie mianujemy. A zresztą i temu możnaby stawiać zarzuty, gdyż i gminność wyrażeń się trafi i rymy nie świetne, rzadko dobrane a kunsztowne, nieraz napotka się niegramatyczność lub złą składnię. — Ale nie studya filologiczne i językowe są celem naszym, — więc raczej pytamy, jakie miejsce zajął Romanowski na współczesnym Parnasie, jako gawędziarz autor historycznych opowieści i twórca mieszczańskiej epopei?

Odpowiedź na to musi wypaść nie tak, jakbyśmy to pragnęli ze względu na autora podniosłych wierszy powstańczych. Bo ani w połowie tej sławy, a tego rozgłosu epiką swoją nie uzyskał, ani nią na tyle nie zarobił, — ile zapisał się „Hymnem Polskim", „Na dziś" i „Audaces iuvat fortuna". I też dotychczas z tamtej tylko, najlepszej strony go nam okazywano — w cień usuwając, a krytycznej miary nie stosując do gawęd jego. Jeszcze coś niecoś wspomniano o pięknie „Dziewczęcia z Sącza", ale to tak ogólnikowo, jakby z konwenansu już chwalić należało wszystko, co nazwiskiem zkądinąd cenionego poety podpisane było. Nad zależnością Romanowskiego od współczesnych nikt się nie rozwodził, nie chciał może prawdy wypowiedzieć, że dział epicznych jego opowieści niższy jest od sławą wszystkich przyćmiewającego Pola i czytanego a popularnego Syrokomli. Tak, jakby to już nimb

zdarło, a miano poety odebrało temu twórcy. Powinność każe nam atoli osądzić stanowisko autora „Łużeckich“ także jako pisarza epicznego. Otóż z wyjątkiem „Dziewczęcia z Sącza“, niektórych partyj „Łużeckich“ i „Księdza gwardyana Kobylańskiego“, nie znajdujemy nic więcej w tym dziale twórczości Romanowskiego, coby mu potrafiło było stanowisko wyrobić w literaturze. Zbytnia zależność od poprzedników i brak oryginalnej formy lub tematów, nie dobre dawała świadectwo młodemu gawędziarzowi, a są dowodem, że nie był on jeszcze dojrzałym do epiki, do której zupełnego zrównoważenia i techniki pisarskiej potrzeba. Uzdolnienie w tym kierunku miał wielkie, a talentem dorabiał reszty. Znać to w opowieściach, które wyłączyliśmy od ogólnego sądu, i gdyby na podstawie ich jakieś horoskopy na przyszłość snuć można było — wówczas nie wahalibyśmy się powiedzieć, że Romanowski stanowczo dalej zaszedłby, niż Syrokomla. Należało mu się było wyzbyć tylko maniery, czy szablonu, w który popadać zaczął. Za takie uważamy ciągłe nawiązywanie gawędy do wspomnień bohaterów w najpospolitszy sposób przypomnienia. Zbyt często się to powtarzało, by mogło ujść uwagi. Znajdziemy więc ten eksperyment w „Śpiewaku z oazy“ i w „Łużeckich“, w „Buławie Rewery“ i w „Konfederacie w Kałudze“, i w „Sałdacie z Cudnowa“, i w „Gwardyanie Kobylańskim“, spotkamy się z tem i we fragmencie „Sierocińskiego“. Ciągle takie samo zaznajamianie czytelnika z dotychczasowem życiem głównych osób poematu, jak było niezaradnością w znalezieniu innych dróg, ku temu wiodących, tak też stawało się schematem, według którego każda opowieść tę samę ma kompozycyę i jednaką budowę. Skutkiem tego, kiedy odczytuje się gawędę jedną po drugiej, ma się wrażenie, że autor miał tylko jedną formę, którą stosował do każdego tematu.

Zostaje do omówienia jeszcze łączność, jaka zachodzi między bojową liryką Romanowskiego a epiką przezeń stworzoną. Łączność to ściślejsza, niżli nawet wydawać się może. Bo owo pragnienie czynu, do którego nawoływał ciągle twórca „Hymnu polskiego“, musiało mieć uzasadnienie swoje w przeszłości. Zatem wskazać trzeba było, że naród w dziejach swych miał chwile, podobne czasom przedpowstańczym, że już ginął prawie, a mimo to bohaterstwem swojem zerwał się i znów wypłynął nad falą, która go zalewała. — Trzeba było okazać, iż czyn, który miał się stać, przeczuwany pieśnią poetycką, już był i wydał świetne wyniki. Ztąd to wybór tematów do wszystkich powiastek Romanowskiego. Niema w ich szeregu ani jednej, którąby malowała jakieś zacisze

domowe i szczęście kochanków. Po za naśladownictwami młodzieńczemi („Chorąży". „Chart watażki". „Śpiewak z oazy" i „Stara bajka"), wszystko oparte o tło narodowe, wszystko albo krwawe zmagania się z wrogiem opisuje („Posłannik", „Łużeccy", „Starosta Żegocki", „Dziewczę z Sącza", „Kanonik Pstrokoński", „Uczta Geronowa", „Gero na Lachach"), albo martyryologię Polski przedstawia („Konfederat w Kałudze", „Ksiądz gwardyan Kobylański"). W niektórych jest nawet aluzya do lat sześćdziesiątych (ostatnie wiersze „Snu króla Jagiełły"). Więc to nie była gawęda o tendencyi apoteozy przeszłości, gawęda w stylu kontuszowym. Ona miała dawać przykłady męstwa i siły narodu, miała podawać wzór, jaki naśladować powinni synowie ojców wielkich. Ale ten zamiar poety, nie tak musiał być przyjęty współcześnie, a wdawanie się w krytykę szlachetczyzny, miru mu pewnie nie jednało wielkiego. Trudno bowiem wyobrazić sobie, by wyciągnięcie takiego typu, jak Karol Łużecki, w którym były zogniskowane wszystkie prawie wady i błędy możnowładców w czasie nawrotu do Polski minionej i ubóstwiania nawet jej przywar, było miłe i przyjemne, a nie wywołało zgrzytu i dyssonansu w ogólnym chórze uwielbienia. — Pominięcia i niepopularności „Dziewczęcia z Sącza" dopatrujemy się nawet w tem, że mieszczaństwo tam opisano, zamiast rycerstwa i szlachty. — Przecie „Senatorska zgoda" stanowczo nie jest lepsza od utworu Romanowskiego, a mimo to takim rozgłosem się cieszyła. Utrafiala ona jednak w ton czasu, była wykwitem upodobań. „Dziewczę" nie było córką chwili. Dlatego przeszło bez większego rozgłosu i na sąd musiało czekać dopiero w historyi literatury.

Ale jakkolwiek rola tendencyjna gawędy Romanowskiego nie była rozległa, jakkolwiek rzecz biorąc pod względem artyzmu, epika jego nie stała wysoko, a nawet nie sięgała do wyżyn, zakreślonych przez współczesnych, to mimo to znajdują się w niej dwie „nowości", które dodatnio wyróżniają ją z piśmiennictwa tej epoki, w której powstała. Pierwszą jest krytyczne patrzenie w przeszłość i trafny pogląd na dzieje („Łużeccy", „Kanonik Pstrokoński"). Niema tu rozdzielania patentów na nieskazitelność i otaczania nimbem wielkości każdej utytułowanej głowy, niema czczej chwalby dla wszystkiego, co się zapadło w ciemne mroki dnia wczorajszego.

Drugą nowością jest wprowadzenie mieszczaństwa do epiki („Dziewczę z Sącza") i nadanie mu praw obywatelstwa obok senatorów, kasztelanów, starostów etc. Odtąd stan ten zajmuje swoje miejsce w literaturze, jest w niej tak dobrze widziany, jak każdy inny, — i niema już uprzedzeń do bohaterów, co się zrodzili

w kołysce, nad którą nie widniał herb szlachecki. I jak Brodzińskiemu za zasługę jest poczytane, że w „Wiesławie“ lud podniósł do godności poetyckiego elementu, tak Romanowski jest pierwszym patronem polskiego mieszczaństwa w poezyi opisowej.

Tego mu literatura nigdy nie zapomni.

Stanisław Lam.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Karol Baliński.

(Studyum biograficzno-literackie.)

(Dokończenie.)

Za treść do swej tragedyi wziął Calderon legendę o Chryzancie i Daryi z dzieła Grzegorza Turoneńskiego p. t. „Gloria beatorum martyrum“, Cap. 38. której i nasz wielki Skarga w swych pięknych „Żywotach Świętych“ nie pomija. Powtarzam ją tu, gdyż treść dramatu trzyma jej się wiernie: „Chryzant, syn rzymskiego senatora Polemiusza, z zamiłowaniem oddawał się naukom filozoficznym: przypadkiem wpadły mu do rąk Ewangelie, więc tak się przejął czytaniem boskiego dzieła, że aż popadł w ponury smutek. Aby otrzymać rozwiązanie nieustannie trapiących go wątpliwości, udał się do chrześciańskiego kapłana, Karpofora, który nietylko zapoznał go z nową nauką, ale i ochrzcił: w ten sposób został otwartym wyznawcą Chrystusa. Ojciec zaś jego, zapalony wyznawca rzymskich bogów, kazał go z zemsty wtrącić do więzienia i morzyć głodem, lecz i to nie skutkowało. Wówczas za radą jednego z przyjaciół zastosował względem niego inne środki. Urządzono wspaniałą ucztę, podczas której Chryzanta otoczono gronem płochych i zalotnych dziewcząt, lecz młodzieniec, pełen boskiego ducha, po gorliwej modlitwie doznał tego cudu, że płoche zalotnice w twardy sen pozapadały. Poczem, jakby na dobitek, nasadzono nań czystą kapłankę Minerwy, imieniem Daryę. Chryzant, ujęty jej wdziękami, nawrócił ją do Chrystusa, i chociaż oboje otwarcie przyznali, że są połączeni ślubem małżeńskim, żyli mimo to w nieskazitelnej czystości. Oboje usiłowali przy każdej sposobności dawać świadectwo nowej wierze i ją rozkrzewiać, skutkiem czego niebawem ściągnęli na siebie podejrzenie pogan. Klaudyusz, stry-

jeczny brat Chryzanta, zaprowadził go do świątyni Herkulesa i nalegał do złożenia bożyszczom ofiary. Chryzant oparł się, więc został skazany na najokropniejsze męczarnie, cud tylko sprawił, że ciało jego mimo razów i katowań zostało nietknięte, co sprawiło na Klaudyuszu i żołnierzach tak mocne wrażenie, iż sami zażądali chrztu świętego i stali się wyznawcami Chrystusa. Sam cesarz Numeryan, posłyszawszy o tem, kazał Chryzanta wtrącić do lochu, a Daryę do domu rozpusty. Z tego to miejsca wybawia ją lew i broni przeciw natrętnym uwodzicielom. Nakoniec Pretor rozkazał porwać kochanków i wrzucić do jamy za murami miasta, a otwór zawalić kamieniami i ziemią.

Taka jest treść legendy, która pod mistrzowskiem dotknięciem pióra takiego geniusza, jak Calderon, stała się niezrównanym arcydziełem literatury chrześciańskiej. W całej kompozycyi, prawdziwie po mistrzowsku pojętej, wszystkie szczegóły łączą się i zlewają w harmonijną i organiczną całość, żadne dygressye myśli, żadne sceny nie występują tu niepotrzebnie, oddzielnie, ale wypływają z wewnętrznej konieczności i przyspieszają pochód akcyi, która tu i tak rozwija się szybko i bieży raźno do rozwiązania. Chociaż Calderon lubuje się w zawiłych komplikacyach scen niespodziewanych, intrygownych, mimo to cała budowa dzieła odznacza się przejrzystością i jasnością myśli przewodniej, która tu jak nić pajęcza przewija się wśród tych cudnych barw i świateł południowego lazuru, wśród tej czarodziejskiej, tęczowej gry słów i zwrotów. Bo język Calderona, to ten cudowny strumień chrześciańskiego natchnienia, który bije bezpośrednio z głębi kontemplacyjnego ducha pośród przepysznych czarownych i nęcących gajów przenośni i ogrodów fantastycznych porównań, a które mimo tego labiryntu błyszczy pogodą jasności i przejrzystości, jak błękit południowego nieba. Każdy kwiatek, każde drzewko, każdy szmer rozkołysanej fali tchnie tu nieskończoną miłością niezbadanych i niezgłębionych tajemnic boskich, wszystko zlewa się w jakąś nieukojoną tęsknotę i marzenie o tem, co piękne, co boskie, co święte. Nie dziw więc, że ta przecudna woń chrześciańskiego ducha, wcielona w czarowną szatę poetyckiego piękna, pociągała Balińskiego, który z niezwykłem odczuciem tego ducha i umiłowaniem tego przedmiotu, oraz z prawdziwie mistrzowskiem oddaniem wszystkich niezwykłych piękności oryginału, dokonał tłumaczenia. Dla poznania piękności przekładu przytoczymy tu niektore ustępy:

K r i s a n t o:

I kogoż z ludzi losy nieszczęśliwe
Rzuciły w odmęt takiej nawałnicy!
Nie dość, że bole cierpię tak straszliwe,
Lecz jeszcze mękę z tych bolów różnicy!

Prosiłem nieba o życie prawdziwe
Przez wyjaśnienia bóstwa tajemnicy,
Prosiłem nieba o śmierć, bo zbyt tkliwe
Serce płonęło miłością dziewicy.

Lecz gdzież mię zbytek cierpienia unosi?
Gdy razem o śmierć i o życie prosi,
Gdy żąda zguby i pociechy razem!
O! innym trzeba modlić się wyrazem!
Czy śmierć, czy życie niebo mi ogłosi,
Chylę się, korzę przed jego rozkazem.

Jest to chwila wewnętrznej walki Chryzanta po pierwszem jego uwięzieniu za to, że udał się do jaskini Karpofora celem wytłumaczenia mu Ewangelii. Inny ustęp, odznaczający się, jak w ogóle poezya hiszpańska, tonem melodyjnym, dźwięcznym, pełnym przenośni i śmiałych a trafnych porównań, podaję także w całości:

D a r y a (na polowaniu z łukiem i strzałami):

Chyża, jak zefir w powiewie,
Biedna ty sarenko mała,
Co nie biegniesz, lecz lecisz, jak strzała,
By na łonie tego zdroju
Skonać w spokoju
W własnej krwi rozlewie,
Zaczekaj dla końca twej męki
Na nowy cios z mojej ręki.

Nagle chwieje się i pada tuż przy otworze pieczary:

Wszechmocne nieba!
Wy to czuwacie nademną.
Kroku tylko było trzeba,
Aby wpaść w tę otchłań ciemną,
Co u stóp tej skały skryta,
Nigdy pełna, nigdy syta,
Jakby paszcza niezgłębiona,
Milcząc — czyha rozdziawiona.

Ach! jestem jak posąg żywy
Z ognia i z lodu zarazem.
Krok tylko, a zgon straszliwy
Czekał mię tu pod tym głazem!
Sam widok tej groźnej pieczary
Taką we mnie wznieca trwogę,
Że spojrzeć w jej głębię nie mogę:
Tam muszą być straszne czary!

(słychać muzykę i śpiew wewnątrz)

Co to jest? czy to ułuda,
Że cudnej muzyki tony,
Że śpiew słyszę utajony?
Wyobraźni to są cuda.
Samotność te widma stwarza,
Dziwem i strachem przeraża.
Nie! to nie mary!
Ucho dobrze słyszy:
Śpiew to jakiś się odzywa,
A harmonia słodka, tkliwa
Wtórzy mu i towarzyszy.

Ileż tu melodyi i piękna poetyckiego? Ileż tu pięknych i szczytnych myśli moralnych n. p. w tej scenie, gdy Polemiusz mówi do Karpofora, który *incognito* przybywa jako lekarz z Aten, by leczyć Chryzanta z melancholii, w jaką rzekomo popadł skutkiem ciągłych rozmyślań nad zrozumieniem głębokich tajemnic Ewangelii:

Zaraz go tutaj zobaczysz
I spostrzeżesz to odrazu,
Z pierwszego jego wyrazu,
Że choroba, co go gnębi,
Nie w ciele, lecz w ducha głębi.

Z podobną myślą, że należy leczyć choroby ducha wpierw przed chorobami ciała, spotkaliśmy się już w jednym z najwcześniejszych utworów z „Pism“ Balińskiego, mianowicie w wierszu „Do braci lekarzy“. Cały duch dzieła i jego głębokie, zdrowe, bo owiane tchnieniem chrześciańskiej wiary myśli, odpowiadały tak zgodnie przekonaniom Balińskiego. Nauka moralna dramatu mieści się w tej myśli, że prawda mimo największych przeciwieństw i prześladowań, prawda myśli Bożej, musi zwyciężyć, że Bóg rozpościera opiekę nad ludźmi, którzy Go miłują, którzy Mu z gorącą wiarą poruczają swe życie, dalej, że gdy skłonności ludzkie, pod-

dane prawom natury w sferze rzeczywistego życia, żądają zaspokojenia i walczą o swe prawa nieustannie, to podporządkowane bezwzględnie woli Boga i Jemu poświęcone, mogą być przez człowieka bez trudności zwalczone. Dramat ten jest obrazem zjednoczenia się dusz w Bogu, wyrzeczenia się własnego ziemskiego szczęścia dla zdobycia życia wiecznego, nieba: Chryzant i Darya, to dwie nieskazitelne dusze, to „Kochankowie nieba". Baliński, wydając ten przekład, zatytułował go: „Wybór dzieł Calderona, Kochankowie Nieba, tom I.", z czego wynikałoby, że zamierzał tłumaczyć inne dramaty tego najznakomitszego dramaturga hiszpańskiego; być też może, że i przełożył, ale te nie ukazały się za życia, a i dotąd, więc jeśli są, to w puściźnie pośmiertnej.

W roku 1861 wyszły w Paryżu dwa dzieła Balińskiego: „Mądrość polska" i „Głos ludu polskiego". „Mądrość polska", wydana pod pseudonimem Ludomira, jest dziełem Balińskiego, bo ton i nastrój myśli, oraz muzykalna rytmiczność wiersza, cechujące jego poezye, wskazują na naszego poetę, tembardziej, że już z przeszłości — artykuł jego w czasopiśmie „Krzyż a Miecz", zatytułowany „Mądrość świata", przypomina nam samą nazwą ten poemat, a tylko pod względem treści i jej zastosowania zachodzi pewna różnica: „Mądrość świata" bowiem ma być mądrością ogólną w zastosowaniu do całej ludzkości, treść zaś poematu „Mądrość polska" dotyczy wyłącznie narodu polskiego i ma być niejako dyrektywą w kierunku postępowania naszego z wrogami. Przytoczymy tu niektóre ustępy w skróceniu ze względu na prawdziwą mądrość myśli:

Walcz synu ziemi! bo życie jest bojem,
W którym zwycięstwo kupuje się znojem.
Żyje, kto walczy!...

Człowiek nie powinien upadać na duchu w walce z przeciwnościami życia, ale znosić ze spokojem duszy wszystkie ziemskie cierpienia, bo te prowadzą go przez ciernistą drogę do doskonałości: należy godzić się z cierpieniami życia i walczyć z niemi, aby z tej walki wyjść zwycięsko; jedne cierpienia mają stanowić dla nas tylko bodziec do zwycięskiego znoszenia następnych. Nie trzeba się uskarżać na boleści, na dolegliwości losu, choćby przyszło znosić je z zaciśniętemi wargami, należy cierpieć cicho, z godnością i dumnie podniesionem czołem: serce powinno się otworzyć dla bliźnich i w chwilach zwątpienia przyjść im z pomocą by wytrwali w cierpieniach i nie ustal na drodze walki życiowej.

Człowiek, stworzony do pracy w pocie czoła, ma więc pracować, orać niwę życia i rzucać w nią jeno dobre ziarna, zdrowe nasiona, by wydawały dobre, niezepsute owoce: praca ta ma być wytrwała, systematyczna, ani na chwilę nieprzerwana, a prowadzona śmiałym, pewnym krokiem, jednak nie zuchwałym, który w swym niewstrzymanym pędzie może się potykać o przeszkody; należy dążyć do celu śmiało, patrząc w niebo i przed siebie, a nigdy za siebie, by nas tęsknota i słabości życia nie nęciły pamięcią o przeszłości i nie wstrzymywały w jednostajnym, wytrwałym pochodzie. Człowiek świat swój ducha powinien zamknąć w sobie, w milczeniu, z godnością, „jakby sam był całym narodem“, i z tą treścią, która jest duchową siłą, postępować naprzód, rozumnie, mierzonym krokiem, wytrwale:

Lecz kiedy twoja praca już dojrzeje
I pękać mają z pączka twe nadzieje,
Dotąd idący w mądrej powolności,
Ty zmień ją w czynów grom i błyskawice
I rzuć te gromy wrogom prosto w lice!
By tą nagłością wydrzeć pół zwycięstwa,
By swą szybkością zgnębić w nich pół męstwa.

Więc kiedy praca dojrzeje, wówczas należy przyspieszyć pochód, by nagłością czynu zniweczyć plany wrogów. Z przeszłości należy wziąć wszystko, co święte, piękne, krwią ochrzczone i przenieść na niwę pracy nad przyszłością: na tej niwie nie należy nigdy być chwiejnym, wahać się, ani słaniać się tu i tam, boć dwie drogi równocześnie nie prowadzą do jednego celu: człowiek winien być mocnym własną swoją mocą, wydobytą z siebie, a zahartowaną w walce z trudnościami i przeciwnościami życia: kto bowiem chce panować myślą nad innymi, musi najpierw zapanować nad samym sobą, musi najpierw zwalczyć własne słabości. Te trzy cnoty chrześciańskie: wiara, miłość i nadzieja, winny przyświecać czynom naszym, a inicyatywą i kierowniczką czynów ma być wola; w działaniu, choćby było uwieńczone najświetniejszym tryumfem, ma się unikać próżności, która jest wypływem pychy. Życie jest bojem, zatem:

Walcz, pomnij zawsze, że największe męstwo
Jest walczyć z sobą, nad sobą zwycięstwo!
Im z sroższym, większym okupione bólem,
Tem potężniejszym wszystkich zwycięstw królem.
Walcz synu ziemi i nie chciej zwycięstwa,
Nie kupionego ceną krwi i męstwa!

A jeśli w walce zostanie się zwyciężonym, nie należy rozpaczać, ani ustawać na drodze pracy przygotowawczej do powtórnego boju, ale trzeba zabrać się z tem większym uporem do dzieła:

Z gorętszem jeszcze do walki natchnieniem.
I tym anielskim uporem groźniejszy,
I tą niezłomną stałością zacniejszy...

Należy walczyć do ostatniego tchu, a nie okrywać swego imienia wieczną hańbą ucieczki z pola walki, choćby polec przyszło, to polec z godnością, zakrywając sztandar własnych piersi tarczą:

Padając, znamię nakryj własnym trupem!
A wróg, to męstwo samotne czcząc w tobie,
Będzie się wstydził szczycić takim łupem,
I razem z tobą złoży w cichym grobie.

Wreszcie kończy poeta swój piękny, pełen życiowej filozofii, poemat apostrofą do swego narodu:

O, mój narodzie! to ma pieśń dla ciebie,
Na jaką w ducha ubóstwie mi staje.
Z twej krwi ją wziąłem i tobie ją daję!
Nie w chmurach marzeń, ani w siódmem niebie
Ja ją znalazłem, ni w sklepionym grobie —
Z twej krwi ją wziąłem i daję ją tobie!
. . . .

„Na jaką w ducha ubóstwie mi staje". — Słowa takie może wypowiedzieć człowiek tylko tak skromny, jakim był Baliński; nie podzielamy tego własnego jego przekonania o sobie samym, płynącego z jego wielkiej prostoty i skromności, gdyż pieśń jest pełna głębokich myśli i świadcząca o silnej i nieugiętej duszy, o zapatrywaniach na świat, wybitnie skrystalizowanych, które pragnąłby poeta, by i świat przejął.

Poemat ten streściliśmy według możności, gdyż zdaje się, że jest bardzo mało znany, kiedy nawet uczeni nie uniknęli błędu, który zarazem jest dla tego poematu krzywdą, i to dosyć z ciekawego źródła płynącą.

Oto w roku 1880 wyszedł w Poznaniu poemat p. t. „Mądrość słowiańska", którego autorem rzekomo ma być podpisany Tadeusz Komar (Zabużyński). Przy zestawieniu tych dwu poematów dla stwierdzenia, czy i o ile poemat Balińskiego wywarł wpływ na poemat Tadeusza Komara (którego podobieństwo tytułu nas ude-

rzyło), ku naszemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziliśmy, że „Mądrość słowiańska“ Komara jest dosłownym plagiatem poematu Balińskiego, z tą jedynie widocznie rozmyślnie wprowadzoną różnicą, że wprowadzono odmienny podział na ustępy i wyrzucono w zakończeniu poematu kilkanaście wierszy: Zmiana tytułu „Mądrość polska“ na „Mądrość słowiańska“ nie wzbudziła podejrzenia uczonych bibliografów i encyklopedystów, którzy do tak poważnych wydawnictw, jak „Encyklopedya Powszechna i illustrowana“, oraz „Bibliografia“ Estreichera, wprowadzili Tadeusza Komara, jako oryginalnego autora poematu „Mądrość słowiańska“: jest to fakt, krzywdzący właściwego jego twórcę, Balińskiego.

Drugie dzieło, pisane prozą, wyszło w tym samym roku p. t. „Głos ludu polskiego“, jest interpretacyą podań ludowych, zebranych przez Zoryana Chodakowskiego (Adama Czarnockiego, Romana Zmorskiego i innych zbieraczy, w duchu przekonań samego autora. Treść podań ludu dostraja autor do własnych przekonań towianistycznych i dopatruje się w nich zupełnej analogii myśli i uczuć z własnemi, zarazem stwierdza autor wiarę w odrodzenie i wskrzeszenie narodu przez lud, które to zapatrywania poety na kwestyę przyszłości Polski poznaliśmy już dawniej. „Praca ta — jak sam Baliński pisze w przedmowie do niej — jest tylko ustępem z dzieła obszernego rozmiaru, które mnie od lat kilku zajmuje, ale którego dla braku środków dotąd wydać nie mogłem i nie mogę. I jeszcze nawet w tym ustępie o podaniach ludu musiałem się ograniczyć, nie mogąc się doczekać potrzebnych ku temu źródeł książkowych.“ Jest to zatem tylko ustęp z obszernego dzieła, pozostającego dotąd w rękopisie.

Nadszedł wreszcie rok 1861, a z nim wypadki w dniach 25, 27 lutego i 8 kwietnia, które na Balińskim wywarły duże wrażenie. W jednym z listów, w tym czasie pisanych, tak się o tem wyraża: „Uwierzycie mi, jestem pewny, bo wiem, że to samo czujecie, że o niczem innem mówić, o niczem pisać, o niczem innem myśleć dziś nie mogę, tylko o tej przezacnej stolicy naszej, którą Bóg w najwyższem miłosierdziu swojem taką świętą natchnął siłą, aby i narodowi i ludzkości pokazała wzór bohaterstwa chrześciańskiego. Mimo więc, że całem sercem podzielam cierpienia narodu mojego, a w szczególności tej prawdziwej stolicy Polski, dziękują Bogu ze wszech sił za tę boleść naszą, a raczej za tę siłę, którą natchnął naród nasz do zniesienia tak święcie tego męczeństwa. Im bardziej wpatruję się w to, co się tam stało i dzieje, tem wyraźniej widzę łaskę Bożą nad nami. Tem bliższem

widzi mi się po tem duchowem odrodzeniu już i cielesne nasze zmartwychwstanie. Modlę się tylko z głębi duszy do ojca w niebiesiech, aby ten sam święty ogień miłości, który nawet żydów siłą swoją niebieską pociągnął ku sobie i chrześcianami z ducha uczynił, aby ten święty ogień stopił wreszcie w jedno serce pana z chłopkiem. — Oto nasza praca najpilniejsza. Oto nasze zbawienienie ziemskie i zagrobowe."

Pod wpływem tych świeżych wypadków warszawskich, gdy na ulicach miasta Warszawy strzelano do bezbronnego ludu, rąbano go i siekano, napisał Baliński swój dramatyczny poemat p. t. „Hasło Polski"; za treść do niego wziął wypadki z 8 kwietnia. W dniu tym ranny mężczyzna schronił się do chaty rybackiej, gdzie pielęgnuje go zwyczajna niewiasta, czuła na bole bliźnich. Mężczyzna kreśli jej obraz tej krwawej rzezi, której sam jest jedną z ofiar; ma następnie różne widzenia: zjawiają się złe duchy, które pod różnemi postaciami nasyłają nań pokusy, tłumacząc mu, że do wskrzeszenia Polski nie prowadzi droga przez Krzyż:

Że zacząłeś poetycznie
Od śpiewu i od modlitwy,
To ślicznie, to bardzo ślicznie;
Bo choćbyś i pękał z trudu,
Niczem innem tego ludu
Nie poprowadzisz do bitwy.
Więc, jak rzekłem, radykalnie
Począłeś rzecz i genialnie,
Lecz gdyś miał już tłuszczę oną
Na ten mądry lep zwabioną,

Lecz przez miecz:

Jeśli chcesz zwyciężyć wroga,
Chwyć żelazo, póki czas!

Starają się obudzić w nim wątpliwości w przyszłość Polski i wpoić przekonanie, że należy się godzić z losem i uznać cara za swego prawego władcę:

Precz ten biały! Precz ten barski!
W górę czarny! W górę carski!
Zbawienie w tym jednym znaku!
Próżne rady! Nieme rady!
Śmiało, śmiało do gromady!
W Mirskich ślady!

Ostatnie zaś widma, wcielając się pozornie w postacie dobrych duchów, zalecają mu tylko życie ascetyczne, mistyczne, które winno być obojętne na sprawy niepodległości. Mężczyzna jednak odpiera zwycięsko te szatańskie pokusy, które pragną w nim zatrzeć ducha patryotycznego, wzrosłego pod znakiem Chrystusa, pragną jadem zwątpienia napełnić jego duszę, by nie chwytał za miecz pod godłem Krzyża, gdyż po odniesieniu zwycięstwa Polska spełni swą misyę posłannictwa wśród narodów — to jest misyę wskrzeszenia wśród nich idei Bożej, prawdy Chrystusa. Do odniesienia zwycięstwa nad kuszącemi widmami przyczynia się i gorąca modlitwa niewiasty do Matki Bożej, Królowej Polski. Wreszcie widzi mężczyzna budzący się ruch narodowy, całe tłumy gotują się do walki w imię Jezusa, pod dowództwem Hetmana, z którego ognistego przemówienia przytaczamy tu ustęp:

I ujrzałem Cię płomienne
Serce mojego narodu
W miłości swojej bezdenne
Ujrzałem Cię, męczennico!
Z Boską na czele oznaką,
Prawdziwą ducha stolico!
Gwiazdo ludzkości pochodu!
Ujrzałem Cię taką, taką...
Ach! o jaką przez lat tyle
Dniem i nocą każdą chwilę
W niegodnej modlitwie mojej
Jęczę u niebios podwoi,
Ufając tylko Bogu...

Pod temi także wrażeniami pisał Baliński w tym czasie poemat p. t. „Czasy Piastowskie“, którego fragment był drukowany w „Niewiaście“ z r. 1861, piśmie, poświęconem płci pięknej, wydawanem w Krakowie przez K. J. Turowskiego; w roczniku tego pisma spotykamy nadto ustęp z poematu „Pieśń do Bogarodzicy“, z którego kilka urywków drukował „Dziennik Literacki, począwszy od r. 1860. Jeden dłuższy ustęp z tego poematu, mianowicie ten, w którym mężczyzna w formie wizyi opowiada niewieście scenę okropnej rzezi wśród zgromadzonego na nabożeństwo ludu, był drukowany w „Dzienniku Literackim“ z r. 1862. Nadto w dzienniku tego samego roku drukował Baliński „Myśl narodu i jej koleje — od r. 1794 do chwili obecnej“. Tu wydrukował tylko początek tego dzieła, zakrojonego na wielkie rozmiary, w którem podobnie jak w dziele p. t. „Historya poezyi polskiej“, którą za-

czał drukować w tygodniku „Krzyż a Miecz“, stara się ująć i wskazać myśl narodu, jak ona się przedstawia w dziejach poezyi i jak z historycznego punktu widzenia. Czy to jest dzieło odrębne od „Historyi poezyi polskiej“, czy to samo, ale z czasem szerzej obmyślane i traktowane z szerszego stanowiska, jest na razie rzeczą dla nas niestwierdzoną, gdyż niemożliwą do stwierdzenia, albowiem nie posiadamy spuścizny pośmiertnej, złożonej w bibliotece w Rapperswylu.

W r. 1862 pisał Baliński w Paryżu swój najdłuższy poemat pod ogólnym tytułem: „Męczeństwo Zbawiciela“, który zarazem dzieli się na 8 pojedynczych rozdziałów, zatytułowanych stosownie do traktowanego epizodu z historyi męczeństwa Chrystusa. Rozdziały te noszą nazwy: „Zbawiciel w Ogrojcu“, „Zdrada“, „Pojmanie“, „Zabiegi wrogów“, „Jeruzalem“, „Annasz“, „Sąd Kaifasza“ i „Zaprzaniec Boży“. — Są to dzieje męczeństwa Chrystusa od ostatniej wieczerzy aż do wyroku śmierci. W poemacie tym, pełnym głębokości i siły uczucia, oraz porywającego natchnienia chrześciańskiego, okazał się Baliński także mistrzem słowa, który włada pięknościami języka z całą swobodą, według własnego upodobania. Poeta ukazuje się także głębokim znawcą dusz ludzkich, wszystkie postacie nakreślone są z niezwykłą plastyką i znajomością prawdy psychologicznej. Wszelkie najdrobniejsze przejawy duszy ludzkiej, jej stadyów i załamywań, jej ciszy i burz, maluje nam poeta w krótkich, lecz śmiałych rzutach, jako artysta-pejzażysta, który jednym rzutem pendzla odsłania nam piękne fragmenty horyzontu. Od Boga Chrystusa, Matki Boskiej i uczniów, aż do ulicznego tłumu, każda postać jest pełna życia i ruchu. Dla okazania piękności poematu przytoczymy niektóre ustępy z poszczególnych rozdziałów n. p. chwilę, gdy Chrystus wchodzi z uczniami do Ogrojca:

Zbawiciel ciągle rozmawia z uczniami,
A mowa jego coraz żałośniejsza,
I w duszy jego trwoga coraz żywsza,
Bo on przeczuwa walkę, co Go czeka,
I że ta straszna chwila — niedaleka

Po rozstaniu się z uczniami, gdy Chrystus rozpoczął gorącą modlitwę do Ojca, nadchodziły nań zewsząd straszne widziadła i pokusy. Szatan wytęża wszystkie siły, by wrzucić w pierś Chrystusa zarzewie zwątpienia, że czyny Jego dotychczas spełnione nie były wolne od zmaz. Chrystus jednak w poczuciu swej Boskości zwal-

czył wszystkie podstępy i pokusy szatana i w swem jasnowidzeniu patrzy na zwycięstwo Swej wielkiej idei, która przez wieki płynie z tryumfem, to znowu widzi ciemnotę i niedowiarstwo, którego zwolennicy snują się błędnie po bezdrożach życia, szukając prawdy, nie chcąc zrozumieć, że prawda jest w Chrystusie:

Snują się tłumy, błędne bez końca,
I uporczywie szukają... słońca!
Jakto? Czyż zgasło? — Gdzie tam! goreje,
Jak zawsze światłość dla wszystkich leje;
Lecz dym tych świeczek, co wciąż im gasną,
Kopciem i brudną pomroką własną
Tak ich ociemnia, tak im wzrok mroczy,
Że słońce już ich nie bije w oczy!
I myślą biedni, że k' słońcu dążą,
A oni w kółko na miejscu krążą...

W chwili niebezpieczeństw wszyscy odsywają się od Chrystusa, a tylko Matka Jego odczuwa całą grozę jego cierpień:

W miejscu ustronnem, w ciszy grobowej
Cała oblana światłem księżyca,
Na głazie czuwa Matka - Dziewica.
Jakby na dwoje bolem złamana,
Bezsenne czoło w dłoniach ukrywa,
Po których cicha, z duszy wylana,
Święta łza Matki lśni się i spływa;
Dla Jej miłości nie ma zasłony,
Nie ma przestrzeni na wzrok Jej ducha,
Bo Syn na wieki z Nią połączony...

Po modlitwie w Ogrojcu przystąpił Jezus do uczniów śpiących i wskazał im ręką w stronę Syonu, skąd zbrojny tłum zbliża się do nich. Jezus wraz z uczniami idzie naprzeciw tłumowi. Judasz daje wskazówki siepaczom i zdradza Jezusa:

Ja wejdę w ogród, wy zaś przez chwilę
Pozostaniecie w ukryciu, w tyle;
Wejdę, jak gdybym wracał do grona,
I jako zwykle czynią uczniowie,
Pocałowaniem mistrza pozdrowię,
Wtedy wpadniecie i rzecz skończona.

Po zdradzie Judasza cały tłum zbirów i siepaczy rzuca się rozwścieczony na pełnego spokoju i boskiej otuchy Chrystusa i znęca się nad nim:

Jezus, ów mocarz, ów Pan mocarzy,
Jakby bezsilny w rękach zbrodniarzy,
Zbity, zsieczony, cały krwią zlany,
Zewsząd krzywdzony, zewsząd szarpany,
Ciągnion powrozem, związany w łyka,
Jak biedne bydlę w rękach rzeźnika!
A ci widzący Pana nad Pany
W postaci ludzkiej istne szatany,
Te najpodlejsze wyrzutki, śmiecie,
Oni... w tryumfie! znaczą na świecie!

. . . .

Zbrodniarze buczni i pełni pychy,
A Pan nad Pany korny i cichy...

W fragmencie z rozdziału p. t. „Zabiegi wrogów" czyni poeta aluzye do czasów dzisiejszych, gdy mówi:

Stało się wówczas, co się dziś dzieje,
Kiedy przeciwny wicher zawieje;
Każdy się mieni chrześcianinem,
Póki ten tytuł nie ściąga burzy,
Póki nie trzeba stwierdzać go czynem,
Póki ofiary żąda nie dużej,
A pozostawia w ciszy i w domu,
Ale gdy nazwie grozi cios gromu
I już nie mówię krzyż, czy morderstwo,
Lecz tylko wzgarda, albo szyderstwo —
Chowamy sztandar święty w pośpiechu
Przez strach nie śmierci, nie! tylko śmiechu!

W ustępie p. t. „Jeruzalem" maluje poeta nastrój miasta w chwili, kiedy tłum siepaczy prowadzi Jezusa od arcykapłana Kaifasza:

Nie całe jednak miasto zbudzono,
Jeszcze część większa we śnie spoczywa.

. . . .

Gdy miasto z góry obejmiesz wzrokiem,
Zda się że w nocnej ciemnej pomroce
Iskra za iskrą goni, migoce,
I już ognistym płyną potokiem,
A potok rośnie, wzmaga się, szerzy,
Ku Syonowi płomieniem bieży...
Iskry to zemsty i nienawiści,
Zdawna sycone w piekieł podmuchach,
Długo żywione w spodlonych duchach,
Których pragnienie wkrótce się ziści.

Poeta dostraja naturę do grozy cierpień Chrystusa. Natura współczuła z cierpieniami Chrystusa i objawiała współczucie swoje różnymi znakami niezwykłymi:

Księżyc wypłynął, lecz chmurny, blady,
Plamy ma w twarzy, niby krwi ślady.
I dziwnie drżący, jak gdyby z trwogi.
Jakby się wzdragał kończyć swe drogi:
Znać tajemnica mu objawiona,
Że gdy do pełni dojdzie — Pan skona.

Od Annasza wiedziono Chrystusa zbitego i krwią zbroczonego przed sąd Kaifasza:

Kaifasz zasiadł wśród sędziów grona,
Postać surowa, twarz zasępiona,
Wzrok jego, w którym zajadłość błyska.
Groźne. złowieszcze spojrzenia ciska.
Obliczu, co się gniewem płomieni.
Wtóruje szata krwawej czerwieni,
Bogato w koło złotem ozdobna.
Głowę pokrywa czapka złocona,
Z boków otwarta, w górę wzniesiona.
Z kształtu biskupiej mitrze podobna.

Kaifasz nie może się dopatrzyć winy Chrystusa, tłuszcza jednak żąda wyroku śmierci, więc arcykapłan spełnia jej żądanie, tłum zawył tryumfem radości. Wśród tłumu znajduje się także wielu, którzy znajdują w wyroku niesprawiedliwość, ale milczą z obawy przed złością zbirów.

W ostatnim ustępie swego poematu p. t. „Zaprzaniec Boży“ poeta zręcznie dostraja los swego narodu do losu Chrystusa. cierpiącego niewinnie za ludzkość. Jak od Chrystusa, gdy groźne niebezpieczeństwa zawisły nad Nim. wszyscy się usuwają, tak i od Polski. i nikt nie spieszy jej na pomoc. Wrogowie oczekują chwili skonu Polski i dziwią się, dlaczego nasz naród nawet wśród takich nieszczęść i tortur nie skonał. Poeta wierzy, że wiara w Chrystusa utrzymuje moc i żywotność narodu i chroni go od zguby, od skonu. Jako Jezus przebaczył Piotrowi, który się Go zaparł, i łotrowi — tak i nam doda może otuchy do zwycięskiego wytrzymania w tej bolesnej próbie niedoli i prześladowań:

I oto ojców kraina święta
Już nawskróś, Chryste! krwią przesiąknięta.

Krwią młodzieniaszków naszych i dziatek.
Krwią starców białych, łzą siόstr i matek!
Toniemy, Ojcze! w łez i krwi morzu.
A jak świat wielki w całem przestworzu,
W całej tej bliźnich narodów rzeszy
Nikt! nikt! na pomoc prawdzie nie spieszy!
A są i tacy, przebacz im, Panie!
Których to nasze razi konanie.
Więc kładąc dłonie w krwawe nam łona
Pytają: Kiedyż naród ten skona?
Dziwią się długiem serc naszych biciem.
Ha! bo nie wiedzą, że Tyś nam życiem!
Że tyle tylko w nas. siły, ducha,
Ile Cię Polak kocha i słucha.
Tak! Tyś nam życiem. Chrystusie Panie!
Dajże nam w takiej wierze wytrwanie,
A jakoś raczył niegdyś nad Piotrem,
Albo nad onym zlitować łotrem,
Co się na krzyżu zwrócił ku Tobie,
Tak dziś miłościw bądź nam w tej próbie,
I nie opuszczaj nas w tej potrzebie.
Nie daj nam nigdy wyprzeć się Ciebie,
Twojego ducha i Twojej zbroi,
I prawdy Twojej i drogi Twojej.

W końcowym tym ustępie, jak widzimy, mesyaniczna myśl zręcznie dostrojona do treści poematu. Myśl ta podobnie, jak naszych wielkich wieszczów, nie opuszczała Balińskiego ani na chwilę, a wiara w nią przewija się, jak nić pajęcza przez wszystkie prawie utwory Balińskiego.

Poemat „Męczeństwo Zbawiciela“ jest bezprzecznie najwznioślejszem pod względem treści dziełem Balińskiego. Utwór ten cechuje niezwykła głębia uczucia i prawdziwe, rzetelne natchnienie. jakiego dostarczyła poecie ta jego nawskróś kontemplacyjna natura, oparta na głębokiej chrześciańskiej wierze. Jest w swoim rodzaju jednem z najznakomitszych dzieł religijnych w naszej literaturze. Poemat ten częściowo był drukowany w „Bibliotece Ossolińskich“. Przy wydaniu dodano do niego jeszcze ustęp p. t. „Zaprzaniec Boży“, który Baliński napisał na krótko przed śmiercią.

Z początkiem r. 1863, na wieść o wybuchu powstania przybył brat Karola, Aureli, do kraju. by wziąć udział w walce o niepodległość. Wstąpił więc bezzwłocznie do oddziału Langiewicza. gdzie odrazu pozyskał sobie uznanie i zjednał ogólną sympatye. zwłaszcza u kosynierów, z którymi lubił najchętniej obcować, jadać i gawędzić. Wkrótce w bitwie pod Grochowiskami okazał pra-

wdziwe męstwo i nieustraszoną odwagę, bo gdy Moskale rozgromili powstańców i sam dowódca Langiewicz uchodził z placu boju, on obudziwszy przemową zapał w kosynierach, na czele ich z okrzykiem: „Matko Boska — Królowo Polski ratuj nas!“ uderzył na wroga, tak, że nieprzyjaciele poczęli się cofać, równocześnie na drugie skrzydło Moskali uderzył Rochebrun i w ten sposób ocalili oddział Langiewicza. W bitwie tej otrzymał Aureli Baliński ciężką ranę w rękę, odesłano go więc w celu leczenia rany do szpitala w Krakowie. Karol na tę wiadomość przybył z wiosną do Krakowa i pielęgnował kochanego brata, który z nim dzielił smutny los tułaczego życia. Z całą troskliwością pocieszał go w cierpieniach, bo ranę, otrzymaną w walce za wiarę i Ojczyznę, czyli za świętą sprawę, uważał za błogosławieństwo Boże. Sam zaś nie mógł udać się na pole walki, gdyż stan jego zdrowia był lichy a organizm wycieńczony skutkiem choroby piersiowej, jaką przeszedł w roku 1862 w Paryżu. Redagował natomiast czasopismo „Wolność“ z polecenia Rządu Narodowego i służył, jak mógł, sprawie ojczystej. Z rodziny Karola przelewał krew za wolność także bratanek jego, Józef Baliński, syn Antoniego, zmarłego w Jarosławcu w 1846 r. Józef Baliński, po ukończeniu szkół w Lublinie, pracował w zawodzie technicznym, w fabryce żelaznej w Warszawie. W chwili wybuchu powstania wyruszył na pole walki, służąc kolejno w wielu oddziałach, aż wreszcie w bitwie pod Ignacowem dnia 8 maja poległ, oddając życie Ojczyźnie w ofierze.

Z Krakowa przybył Karol Baliński z bratem w październiku do Lwowa, gdzie miał grono przyjaciół wśród znakomitych literatów lwowskich. Przebywał w tem sympatycznem kółku i cieszył się nadzieją zwycięstwa sprawy narodowej, wierzył w nią do ostatniej chwili życia. Tu w grudniu napisał swego „Zaprzańca“, który zamyka poemat „Męczeństwo Zbawiciela“, o czem tak pisze jego przyjaciel, August Bielowski:

„Rok 1863 kończył się i już niemal ostatnie jego godziny wybijały, kiedy autor, odwiedziwszy nas, odczytał nam co tylko ukończony ustęp nowy swego poematu, wzniosły, harmonijny i rzewny. Były to ostatnie chwile, w których cieszył się zdrowiem. Nazajutrz bowiem poczuł lekką gorączkę, a po dniach kilku już nie żył. Ustęp ten ma napis „Zaprzaniec Boży“ i tu go pod l. VIII. dołączamy. Jest to śpiew jego ostatni, a rodacy chętnie mu ucho skłaniając, mogą usłyszeć w rzeczywistości nieco z tych tonów,

o jakich marzyła starożytność, mniemając je podsłuchiwać w śpiewie konającego łabędzia.“

My zaś z autentycznego źródła wiemy, bo na podstawie informacyi, udzielonej nam łaskawie przez hr. Włodzimierzową Dzieduszycką, iż Baliński spędził u hr. Dzieduszyckich wieczór wigilijny, podczas którego wygłosił z zapałem wiersz swój: „Kolenda na Boże Narodzenie“, ale z pewnemi zmianami, tak, że czynił wrażenie improwizacyi. Zatem w ostatnich dniach zasłabł nagle na zapalenie płuc i mimo troskliwej opieki lekarzy i przyjaciół zasnął snem wiecznym dnia 10 stycznia 1864 r. Zmarł w pałacu hr. Wł. Dzieduszyckich, znanych protektorów artystów i wygnańców. Pochowany jest na cmentarzu Łyczakowskim i spoczywa pod nader skromnym głazem.

Charakter twórczości Balińskiego jest nawskróś liryczny. Wprawdzie próbował poeta sił swoich i na polu epiki, ale tylko w drobniejszych utworach, rodzaj bowiem liryczny odpowiadał bowiem najlepiej naturze jego talentu. Pod względem treści utwory jego cechuje głęboka miłość Ojczyzny i szczere, prawdziwe uczucie religijne. Te dwa tony są dominujące w dziełach Balińskiego, oba łączą się zgodnie z sobą i zlewają harmonijnie w mistycznym i mesyanicznym poglądzie. Jak nam z dzieł wiadomo. Baliński należał do grona najżarliwszych zwolenników mistycznej nauki Towiańskiego. Jednak tak w towianizmie, jakoteż mesyanizmie okazał się Balinski rewizyonistą, uniknął bowiem niektórych błędów nauki towianistycznej, jak n. p. metempsychozy, w mesyanizmie zaś poszedł raczej za przykładem dawnych twórców nie skrystalizowanej jeszcze idei mesyanicznej, a mianowicie Kochowskiego, Starowolskiego i skrystalizowanej już Brodzińskiego. którzy lubo wyznawali misyę apostolską Polski wśród narodów i naród Polski uważali za wybrany od Boga, to jednak widzieli w nim wady i winy, które należało naprawić. Brodziński n. p. patrzył krytycznie na przeszłość i uznawał, że Polska cierpi za własne winy, a nie tylko za winy innych narodów, zajął więc stanowisko analogiczne do zapatrywań poetów dawniejszych, w przeciwieństwie do Mickiewicza lub Krasińskiego, którzy uważali Polskę za niewinną ofiarę, cierpiącą za przewinienia i losy innych narodów, a nawet całej ludzkości. Obok tych dwóch zasadniczych idei, to jest patryotycznej i religijnej, występuje u Balińskiego także wybitnie trzecia — społeczna. Wynika to już z natury idei patryotycznej, którą Baliński opiera na gruncie reform społecznych, mianowicie, zgodnie z duchem swego czasu żąda po-

prawy losu ludu, jego zupełnego wyzwolenia i uwłaszczenia. oraz należytego uświadomienia pod względem narodowym.

Szatę zewnętrzną jego poezyi. formę, zdobi szlachetna prostota i naturalność. Język Balińskiego jest piękny, a w niektórych poematach dochodzi nawet do świetności, lubo nie odznacza się taką wspaniałością. jak język naszych wielkich wieszczów. Baliński bowiem zbyt bujnej wyobraźni nie posiadał. miał atoli żywą i giętką wyobraźnię, a prawdziwy dar natchnienia poetyckiego dostrajał mu formę do treści. Wpływ duży wywarli na niego Mickiewicz i Krasiński; szlachetną prostotę i wdzięk wysłowienia przejął od Mickiewicza, a formę wizyi, jak n. p. w „Dzisiejszym rycerzu“, „Haśle polskiem“ i „Męczeństwie Zbawiciela“, od Krasińskiego.

Stanowisko Balińskiego polega głównie na polu liryki. Jako liryk należy Baliński do niepoślednich poetów doby romantycznej.

Dr. Jan Mirwiński.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.